

GAZETA KRAKOWSKA

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

NR INDEKSU 35015
PLISSN0208-7693

Kraków • Nowy Sącz • Tarnów

12, 13 III 1988 r.

Nr 60 (12159)

Rok XL

Cena 30 zł

Wyd. 1

Warszawa

Rozmowy
sekretarza
generalnego
Rady Europy

W. Jaruzelski
przyjął M. Oreję

WARSZAWA (PAP). 11
bm. przewodniczący Rady
Państwa Wojciech Jaru-
zelski przyjął sekretarza
generalnego Rady Europy
Marcelino Oreję.

W rozmowie poruszono
problemy odprężenia i
współpracy ogólnoeuropejskiej. M. Oreja został po-
informowany o działaniach
i inicjatywach Polski w
dziedzinie bezpieczeństwa,
rozbrojenia i współpracy
na naszym kontynencie, w
tym o polskim planie
zmniejszenia zbrojeń i
(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Marian Orzechowski: debata na Wiejskiej

była niezwykle żywa, ciekawa i różnicowana

Jednomyslność w ocenie i aprobatą dla polskiej polityki zagranicznej

Szef polskiej dyplomacji złoży wizytę w Waszyngtonie

WARSZAWA (PAP). W Warszawie odbyła się
wczoraj konferencja prasowa ministra spraw za-
granicznych Mariana Orzechowskiego, podczas
której ocenił on przebieg wczorajszej debaty sejmowej nt. polityki zagranicznej Polski oraz od-
powiadał na liczne pytania komentując poszczególne aspekty polityki międzynarodowej naszego
kraju.

W konferencji, oprócz kore-
spondentów zagranicznych i przedstawicieli dyplomacji
dziennikarzy krajowych, ucze-

szawie. Minister uznał debatę
sejmową za niezwykle żywą,
ciekawą i różnicowaną, bo-
gata we wnioski i sugestie, a
jednocześnie podjęła uchwałę
Sejmu w sprawie polityki za-
granicznej — za wyraz jedno-
myślności w ocenie społecznej
polskiej polityki zagranicznej.
Nadrzędnym jej celem jest —
jak stwierdził — dążenie do
zapewnienia pokoju, bezpie-
czeństwa kraju, równowagi
współpracy z wszystkimi pań-
stwami.
(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Dla wyrównania krzywdzących dysproporcji

Wkrótce zapadnie decyzja w sprawie dodatkowych podwyżek rent i emerytur

WARSZAWA (PAP). Jak
się dowiaduje dziennikarz
PAP wkrótce ma być podjęta
decyzja w sprawie dodatko-
wych podwyżek emerytur i
rent niekiedy grup wetera-
nów pracy.

Pierwszym takim „roczni-
kiem” weteranów pracy byli-
by ci, którym emeryturę lub
rentę przyznano w 1983 r. O-
kazało się, że nawet po za-
kończeniu tegorocznych pod-
wyżek te emerytury i renty
byłyby niższe od przyznanych
w późniejszych latach prze-
ciętne o 2-3 tys. zł. Propo-
nuje się zatem podwyższyć je
dotatkowo o 2.600 zł miesię-
cznie, płatne w dwóch ratach
po 1.300 zł od 1 marca i od 1
września br., tak jak emery-
tury i renty przyznane w la-
tach późniejszych. Te dodat-
kowe wypłaty przysługiwały-
by niezależnie od ostatniej,
wrześniowej raty podwyżek z
tytułu rewaloryzacji świadczeń „starego portfela”. O
poprawę sytuacji materialnej
tej grupy, która liczy ok. 300
tys. osób, upominano się szcze-
gólnie OPZZ.

Drugą grupą, która powin-
na skorzystać z dodatkowych
podwyżek, są emeryci i ren-
ciści, którym świadczenia
przyznano w 1987 r. Co pra-
wdą były one obliczane na
ogół od stosunkowo wysokich
plac, ale z drugiej strony tej
grupie nie przysługują jeszcze
w br. bieżąca waloryzacja, z
której skorzysta dopiero w
1989 r. W rezultacie wzrost
tych emerytur i rent byłby
niższy od 36 proc. wzrostu cen
w tym roku. Dlatego propo-
nuje się zwiększenie dla tego
„rocznika” raty podwyżek wy-
płaconych od 1 marca br. o
kwotę 1.400 zł. Oznaczałoby
to podwyższenie raty podwyżek z
(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

USA—Panama

G. Shultz: rząd będzie kontynuował nacisk, aby zmusić generała Noriegę do odejścia

PANAMA, WASZYNGTON (PAP). Stany Zjednoczone
nie rezygnują z wywierania nacisku na rząd panamski,
aby doprowadzić do usunięcia generała Manuela Antonio
Noriegę ze stanowiska dowódcy panamskich sił zbroj-
nych. Jest to nacisk ekonomiczno-finansowo-polityczny,
choć władze panamskie nie wykluczają, iż następnym
krokiem Waszyngton może być interwencja zbrojna.

Izba Reprezentantów Kongresu USA przyjęła w czwar-
tek rezolucję wzywającą prezydenta Ronalda Reagana
do podjęcia nowych sankcji gospodarczych przeciwko
Panamie. Tego samego dnia, w wystąpieniu przed komi-
sją spraw zagranicznych Izby George Shultz oświad-
czył, iż rząd „będzie kontynuował nacisk, aby zmusić ge-
nerała Noriegę do odejścia”.

Irak—Iran

Zakończenie rakietowej „wojny miast”

KAIR (PAP). Irak i Iran oświadczyły w piątek po po-
łudniu zaprzestanie trwającej od blisko dwóch tygodni
rakietowej „wojny miast”. Przed ogłoszeniem wcześniej
terminem, tj. przed godziną 14.00 czasu środkowoeuro-
pejskiego, Irak wystrzelił jeszcze jedenastkę rakiet na
Teheran i święte miasto irańskie Kum. Iracyńczycy ostrze-
żali Bagdad trzema rakietami. Dowództwo sił zbrojnych
Iraku wezwało do przestrzegania zawieszenia broni w
wojnie rakietowej i zagroziło, że w przypadku jego na-
ruszenia odwet Iraku będzie bezprzykładnie silny.

Jak podała iracka agencja prasowa IRNA, ostatnia
rakietka iracka została wystrzelona w stronę Teheranu 16
minut przed 14.00. Irak zachował dla siebie prawo „o-
statniego strzału” argumentując, że to Iran rozpoczął
„wojnę miast”. Od 29 lutego według oficjalnych danych
po stronie irańskiej zginęło łącznie 165 osób cywilnych,
440 odniosło rany.

Związek Radziecki

Przygotowania do zmiany ustawodawstwa karnego

Dyskusja nad zniesieniem kary śmierci

MOSKWA (PAP). O kierunku prac przygotowawczych
nad zmianą radzieckiego ustawodawstwa karnego po-
informował na spotkaniu w Rydze z przedstawicielami
społeczeństwa lotewskiego dyrektor Związku Instytutu
Umocnienia Prawa i Porządku Prawnego Igor
Karpic.

Jedyną zmianą zakładającą zwiększenie odpowiedzial-
ności obywateli jest wprowadzenie rozdziału o karach
za przestępstwa przeciwko pokojowi i ludzkości. Inne
zmiany przewidują uczynienie kodeksu karnego bardziej
humanitarnym.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Wietnam

Zmarł premier Pham Hung

HANOI (PAP). 10 marca w wieku 75 lat zmarł człon-
nek Biura Politycznego Komunistycznej Partii Wietna-
mu, przewodniczący Rady Ministrów Wietnamskiej Re-
publiki Socjalistycznej PHAM HUNG. Pogrzeb odbędzie
się 15 marca.

Do czasu wyboru nowego premiera obowiązki szefa
rządu będzie pełnił dotychczasowy wicepremier Vo Van
Kiet.

Ze sfery królewskich

Lady Diana omal nie została księżną — wdową...

Moneta wartości 75 tys. dolarów

Przebywający na wypoczyn-
ku w Szwajcarii książę Karol
znalazł się podczas jazdy
na nartach w niebezpiecznej
bliskości spadającej lawiny.
Książę nie się nie stało, la-
dy D. przeżyła w tym cza-
sie w bezpiecznym zaciszu
szwajcarskiego Chalet.

W Los Angeles odbyła się
największa od 20 lat aukcja
antycznych monet. Jedni ku-
powali ze względu na dresz-
czyk emocji, że mogą stać się
właścicielami monet będą
kiedyś dotykanych dłonią Kle-
opatry lub Juliusza Cezara, in-
ni twierdzili, że kochają sta-
rą monetę.

Sobowtór Eastwooda
Znany aktor amerykański
Clint Eastwood wystąpił m.
(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Miłość niejedno ma imię...

...a wysoki sąd musiał przerwać rozprawę, by odzyskać powagę, którą trudno było mu utrzymać

GORZÓW WLKP. (PAP). Przed Sądem Re-
jonowym w Stubicach (woj. gorzowski) sta-
nał 11 bm. w trybie przyspieszonym 26-letni
mieszkaniec Sulęcina, który w nocy włamał
się do sklepu w miejscowości Krzeszyce, gdzie
pracował. Do środka dostał się przez wybitą
szybę, po czym... telefonował ze sklepu na
milię. Oczekując na przyjazd MO zjadł soki

gotąbków popijając zabranym z półek alkoholem.
Witaminy w oświadczył stróżom prawa, że
włamał się do sklepu ponieważ... rzuciła go
kochanka, którą chce ukarać idąc do krymi-
nału. Sąd przerwał rozprawę na kilka dni
i zrezygnował przy tym ze stosowania aresztu
tymczasowego.

We wtorkowych

„Realiach”

Reforma
gospodarcza
„na żywo”
i od środka

(Inf. wł.) Po okresie u-
świadamiania społeczeństwa
o zasadach i celach propo-
nowanych rozwiązań gospo-
darczych w II etapie re-
formy, przyszedł czas na
zderzenie decyzji z rzeczywistością, czyli z realiami
spotykającymi w zakładach
pracy i instytucjach.

Biuro Polityczne KC
PZPR zaleciło organizowa-
nie w całym kraju spotkań
informacyjnych - kontrolnych
na ten temat. Owe spotka-
nia z kadra kierowniczą
przedsiębiorstw i reprezen-
tantami załóg przedsiębior-
stw różnych branż, da-
ją obraz kondycji ekono-
micznej przedsiębiorstw, po-
zwalać lepiej zrozumieć i
ujawnić progi i bariery
zwalniające tempo wdra-
żania reformy. Komitet
Kraowski PZPR do tych spo-
tkań przywiązuje szczegól-
ną wagę. Organizuje je w
różnych zakładach, typow-
ych dla krakowskiego
przemysłu. Do zakończenia
tego cyklu spotkań pozos-
tało jeszcze kilka dni, ale
już teraz, śledząc przebieg
odbitych narad stwierdza-
ć można, iż dostarczyły cen-
nego materiału do przemy-
śleń.

W ostatnich dniach ucze-
stniczyliśmy w spotkaniach
(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Ronald Reagan stwierdza, że wojny jądrowej nie sposób wygrać

i nie należy jej rozpoczynać, dąży do zawarcia z ZSRR układu

o połowicznej redukcji broni strategicznej, ale swojemu następcy

w Białym Domu zaleca:

Działać z pozycji siły

LONDYN (PAP). W wywia-
dzie udzielonym brytyjskiej
stacji telewizyjnej ITV prezy-
dent Ronald Reagan wypowie-
dzał się na temat zasadni-
czych problemów rozbrojenia
i kontroli zbrojeń.

Prezydent USA wyraził o-
pinie, że zarówno USA jak i
ZSRR dąży do zawarcia poro-
zumienia o 50-procentowej re-
dukcji ofensywnych broni stra-
tegicznych. „Problem jest je-

dnak bardziej złożony niż u-
kład w sprawie rakiet śro-
dniego i krótszego zasięgu
(RSK). Dlatego uważam —
powiedział — że w tym wy-
padku nie należy określać
skrajnych terminów, bowiem
spójnie mogliby spowodować,
że trzeba by zgodzić się na
rozwiązanie częściowe, aby
tylko osiągnąć porozumienie w
wyznaczonym terminie”.

Odpowiadając na pytanie
(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Belweder

Nominacje
profesorskie

WARSZAWA (PAP). Rada
Państwa nadała — na wnio-
sek prezesa Rady Ministrów —
23 uczonym tytuły profesora
zwyyczajnego a 27 — tytuły
profesora nadzwyczajnego. No-
wo mianowani spotkali się 11
bm. w Belwederze, gdzie z rąk
zastępcy przewodniczącego Ra-
dy Państwa Kazimierza Bar-
cikowskiego otrzymali pismo
o nadaniu tytułów naukowych.

Tytuły profesora zwyčaj-
nego otrzymali m. in.: nauk
fizycznych — Krzysztof Ry-
bicki z Instytutu Fizyki Ja-
drowej w Krakowie; nauk
humanistycznych — Kazimierz
Rymut z Instytutu Języka Po-
lskiego PAN w Krakowie; nauk
medycznych — Maria Gumiń-
ska, Zofia Knychalska-Kar-
wan i Adam Szymuski z AM
w Krakowie.
(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

A. Stanisławski telefonuje z Oberstdorfu

MŚ W LOTACH
OBERSTDORF
'88

Kłeska...
śniegu!

Jeszcze w czwartek w O-
berstdorfie świeciło słońce, na
niebie nie było ani jednej
chmurki, a termometry w cie-
niu wskazywały minus 2 sto-
pnie. Nieszcześnie zaczęło się
w nocy, synoło śniegiem, ra-
no napadło go 30 cm, kiedy
jechałem na „mamucia” sko-
cznie odległą od centrum mia-
sta o 7 km — śniegu było już
ponad pół metra. Jechaliśmy
śnieżnymi tunelami. Na sko-
czni pracowało bez przerwy
kilkudziesięciu ludzi. Kwalifi-
kacyjna seria miała rozpocząć
się o godz. 10.30, jury przeło-
żyło ją na godz. 11.30, potem
na 13.00. Parę minut po godz.

13.00 zapadła decyzja — dzi-
siał skoków nie będzie. Czło-
wiek wyposażony w najnowo-
czesniejszy sprzęt przegrał je-
szcze raz z żywiołem...
Chciałem porozmawiać z pol-
skimi skoczkami, ci jednak za-
raz po przyjeździe na skocz-
nię zwinili manatki i pojecha-
li do hotelu, gdzie oczekiwali
na wiadomości — czy kwalifi-
kacyjna seria odbędzie się.
Nasz międzynarodowy sędzia
Sylvester Pancherz, który tu-
taj w Oberstdorfie będzie je-
dnym z pięciu sędziów orze-
kających (ocenia styl) od sa-
mego początku konkursu.
(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Jak nabyć atlas nieba Heweliusza?

Cenny reprint nie dotarł do Krakowa

(Inf. wł.) Wiele uwagi
prasie, radiu i telewizji po-
święcono swego czasu przygo-
towanie do wydania reprintu
tego słynnego atlasu nieba Jana
Heweliusza „Firmamentum
Sobiescianum” („Firmament
Sobieskiego”). Książka ukaza-
ła się w zeszłym roku uświe-

64. krakowska aukcja antykwareczna

„Młot na czarownice” za 1.650 tys. złotych

(INF. WL.) W kuluarach
szacowano ten jedyny inkunab-
ul na krakowskiej aukcji an-
tykwarecznej tylko na milion
złotych. Nikt nie spodziewał
się, że ostateczna cena wynie-

sie aż milion 600 tys. złotych,
a zakupił go Biblioteka Na-
rodowa. Komentarze więc pra-
wie jednoznaczne. Ogólnie uwa-
żano, że ostateczna cena wynie-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

redaktor dyżurny
przy telefonie 22-09-85

Dziś, w sobotę, oczekuje na Wasze telefony od godz. 10 do 14 red. Magdale-
na RUSEK z Działu Informacji.

W niedzielę przy redakcyjnym telefonie dyżuruje także od godz. 10 do 14 pu-
blicysta Ryszard MALINOWSKI z Działu Informacji.

— Jest Pan jednym z konsekwentnych i wnikliwych badaczy tych zjawisk literackich, które bądź to rodziły się, bądź też pozwalały ujmować się „ze stanowiska lewicowego”. Takie zresztą tytuły nosi jedna z Pana książek. W zasadzie jednak Pana badania nad lewicą literacką urywają się (bo pomijam prace fragmentaryczne np. nad powojennym tygodnikiem marksistowskim „Kuznica”) na roku 1939. Czy jest to rodzaj uniku od trudnych czasów bieżących?

— O wiele łatwiej było mi śledzić nurt lewicowej myśli literackiej, lewicę literackiej od początku jej narodzin czyli lat 80. XIX wieku do roku 1939 niż po II wojnie światowej. Wtedy wszystko było względnie proste. Kiedy natomiast lewica doszła do władzy, a więc przeszła ze stanu opozycyjnego do objęcia rządów, odpowiedzialności za losy kraju, sytuacja ogromnie się skomplikowała. Jak wokół każdej władzy, także i tej, gromadziły się różne elementy. Przed wojną było lewicowcem znacząco być nonkonformistą. Teraz zaś wspierać władzę mógł zarówno ten, kto widział w niej ucieleśnienie swoich ideałów jak i ten, który czynił to ze względów czysto koniunkturalnych. Pojawiała się więc trudność — jakiej przyjąć kryteria? Gdy badam teksty literackie, kry-

granicą między prymitywnym karierowiczostwem a naiwną iluzją? Co było podyktowane dobrą wiarą, a co cynicznym rozkładaniem kultury polskiej? Jak się w tym wszystkim roznieść? Trzeba podjąć próbę i chciałbym to zrobić, ale czy zdolać? Czy zdążyć?...

— Pokoleniom przedwojennym łatwiej było wybrać opcje ideowe, polityczne, światopoglądowe. Życie polityczne oferowało wiele różnych systemów wartości. One się ścierały, toczyła się walka. Twierdzić, że pisarzowi było o wiele łatwiej. Dzisiaj ten wybór skurczył się do jednej alternatywy: socjalizm — opozycja lub też zastępuje go postawa obojętna w stosunku do zagadnień politycznych.

— W opinii uproszczonej rzeczywiście tak to wygląda. Słuszne jest pani stwierdzenie, że dzisiaj jest znacznie trudniej niż dawniej, ale łączyłoby to z zupełnie czymś innym. Myślę, że powodem trudności wyboru jest w ogóle skomplikowanie się świata, życia politycznego, społecznego. Dawniej człowiek opowiadał się po stronie wybranych wartości, poświęcając im nieraz swoje życie, i jeżeli nawet przegrzywał — odnosił zwycięstwo moralne. A dzisiaj w trudnym

Właśnie z tą tradycją lewicy były spory wewnętrzne o to, kto naprawdę jest lewicowy. Spory te wywodził się z okresu stalinowskiego, kiedy bardzo wąsko pojmowano lewicę. I np. takich autorów jak Bruno Jasieński, Henryk Drzewiecki, Stanisław Ryszard Stanczyk, Witold Wandurski uważano za zdradców i oskarżono o odchylenie „nacionaloportunistyczne”. Dopiero XX Zjazd KPZR w roku 1956 przyniósł im pośmiertną rehabilitację. Zaczęli ukazywać się ich utwory. Rozszerzenie zakresu pojęcia lewicy po 1956 roku to także efekt wyjścia z tych dogmatycznych, sekiarskich zakamarków myślenia, które było charakterystyczne dla czasów stalinowskich. Naturalnie, dochodzenie do jasnej samoświadomości, do każdej z ludzkich postaw, także lewicowej, jest uzasadnione, a nawet konieczne. Rzecz w tym, by kamieniem probierczym w tym sporze nie była zgodność z formułkami uznawanymi za klasyczne. Stusznosc tego, co robimy i jak myślimy musi być weryfikowana przez życie realne, przez praktykę społeczną.

— W wydanej w 1983 roku przez Ossolineum w serii „Biblioteka Narodowa” — „Antologii polskiej poezji rewolucyjnej 1918—1939” w

wej od połowy XIX wieku po lata 50. naszego stulecia wielu wybitnych twórców miało w swej biografii okres, w którym wchodzili w mniejszą lub większą bliskość z lewicą społeczną. Można wymienić nazwiska najobszerniej: G. B. Shaw, H. G. Wells, R. Rolland, A. Gide, J. Dos Passos, E. Hemingway, A. Malraux, T. Dreiser, U. Sinclair, nie mówiąc już — bo to nazbyt oczywiste — o całej plejadzie wielkich autorów radzieckich.

— Jedną z dziedzin, którymi Pan zajmuje się, jest współczesna literatura emigracyjna. Ubiegłoroczne sympozjum w „Krakowskiej Kuznicy” poświęcone literaturze emigracyjnej obnażyło wiele luk w badaniach tej twórczości. Wciąż brakuje obszernych i dogłębnych studiów, obiektywnych naukowych syntez. Ba! Nie ma nawet do tej pory opracowanej monografii pisarzy emigracyjnych.

— Zespół Instytutu Badań Polonijnych UJ przygotował słownik pisarzy emigracyjnych i miejmy nadzieję, że zostanie wydany szybko. Książka pisarzy emigracyjnych ukazała się naprawdę więcej niż się potocznie przypuszcza. Chciałoby ostatnio: „Łagodne oko błękitu” Romanowiczowej, studia literackie prof. Jerzego

ki marksizmu i leninizmu; wymaga głębokiej odpowiedzialności myśli”. Czy jako redaktor naczelny „Zdania” i wiceprezes „Krakowskiej Kuznicy” ma Pan możliwość swobodnego działania?

— Dzisiaj, w dyskusjach publicznych i w słowie drukowanym można poruszać wiele problemów, o których dawniej trzeba było milczeć. Chodzi o to, by odnosić się do nich z właściwą powagą a nie szukać okazji dla druzgocznego, często pozornych autorskich satysfakcji. Gdy myślę o „Zdaniu”, to przede wszystkim pragnę, by nie zabrakło nam intelektualnej energii (która także ulega zmęczeniu i zużyciu), bystrych umysłów i dobrych pór, zarówno w zespole redakcyjnym jak i wśród naszych współpracowników. By sprostać oczekiwaniom i utrzymać wysoki poziom naszego pisma. Dobrze wiemy, że nam się to nie zawsze udaje. Życzylibyśmy sobie i czytelnikom więcej głębokiej esejistycznej humanistycznej, kulturalnej, literackiej, filozoficznej. Za dużo jest ekonomii, reformy, polityki; tej doraźności, o której zawsze łatwiej pisać. To co powiedziałem w pewnym stopniu odnosi się również do spotkań w „Krakowskiej Kuznicy”. Z tym, że można je

SPOJRZENIE Z LEWICY

Rozmowa z prof. dr. hab. MARIANEM STĘPIEM z Uniwersytetu Jagiellońskiego, laureatem nagrody „Gazety Krakowskiej” im. Tadeusza Hołuj „Drzewo i owoc”



Prof. Marian Stępień.

Fot. J. Weisto

tycznoliterackie i programy lewicy literackiej do roku 1939, mogę w zasadzie przyjąć, że odbijały one rzeczywiste marzenia, poglądy i przekonania tych ludzi. Dzisiaj natomiast nie wiem, czy pan X był prawdziwy w latach 1949—55, czy on naprawdę teraz? Jeżeli on poszedł obecnie w kierunku zupełnie odmiennym od poprzedniego, to ja nie wiem czy wtedy porozumiał czy teraz porozumie?

— Każdą człowieka ma prawo do ewolucji poglądów...

— „...i nikt mu tego prawa nie odbiera. Więcej, człowiek musi — poprzez obserwację świata — korygować i wzbogacać swoje poglądy. Rzecz w tym, że osoba działająca publicznie (pisarz, uczytel, intelektualista, polityk, działacz, publicysta), która wielela w życie coś, co okazało się błędem, przechodząc na pozycję inną, musi swoją decyzję, uzasadnić również publicznie. Jej obowiązkiem jest podać ten trud. Przez pewien czas można było jeszcze usprawiedliwiać się tym, że nie wszystko ma szansę druku. Jednak już od prawie 10 lat argument ten jest nieaktualny. Korzysta się z różnych możliwości publikowania: poza cenzurą, w nielegalnym obiegu, wydawnictwach na Zachodzie. Znaczenie też zaważył się zakres kontroli cenzury. Można więc przedstawić wszystkie ważne strony swego życia. A tymczasem mnożą się przemienienia i korektury wnoszone do własnych biografii. Jakże więc pójść dalej w badaniach nad polską lewicą po 1945 roku skoro tak łatwo porazić się w niepewności: co jest prawdą, a co fałszem? Co jest pozorem a co autentyczną postawą? Gdzie przebiega

momentem wyboru wcale nie jest pewien czy wybiera trafnie, czy nie poświęca się sprawie, z którą — jak może później się okazać — nie chciałby mieć nic wspólnego. Dawniej tego nie było. Skomplikowanie nastąpiło w różnych obszarach życia społecznego. Poza tym wszystko się udoskonaliło. Także różne sposoby manipulowania człowiekiem.

— Mówi się że dziś już lewicy nie ma, że się rozprzeczła...

— Dlatego, że jest w tej chwili osamotniona? Że nie dominuje? Proszę pani, rzadko się zdarza, by racja była po stronie większości. Przecież chodzi o to, aby zrealizować te zasady, te cele, które otworzyły się przed Polską po II wojnie światowej, tzn. zbudować i ad sprawiedliwość społeczną. Tego mogła się podjąć tylko lewica i tylko ona może to dzieło doprowadzić do końca. Do tej pory nie wszystko nam się udało. Stworzyliśmy podstawy, ale potem okazało się, że było dużo różnych komplikacji po drodze...

— I w konsekwencji pisarzy piszących dziś o życiu ideowym człowieka, o jego życiu wewnętrznym jest bardzo niewiele. Nie uważa się bowiem tych problemów za godne pióra, bo to temat propagandowy. Taki epitet raczej niesławia, gdyż propaganda zrobiła karierę negatywną...

— Na to wszystko można spojrzeć bardzo różnie. Myśli pani o niechęci do podejmowania tematów społeczno-politycznych, ideowego zaangażowania... Zawsze będę miał więcej szacunku dla człowieka, który idzie pod prąd stadnych emocji i nastrojów. Przecież większej odwagi wymaga podjęcie czegoś co jest niepopularne. Z doświadczenia nie tylko mojego pokolenia — badam większe obszary niż jednej generacji — wiem, że ten gorzej w sensie moralnym, kto umie zachować godność i kto nie poddaje się bezkrytycznie dominującemu nastrojowi chwili, kto w najtrudniejszych nawet warunkach umie być sobą. Odnosi się to również do ludzi lewicy. Wśród nich są nie tylko członkowie partii. Legitymacja partyną nie daje im gwarancji, o niczym nie przesądza.

— Odnosić jednak wrażenie, że nie za bardzo wiemy, co to jest dzisiaj „lewicowość”. Występuje tu ogromny zamęt, także terminologiczny.

— Jestem przeciwny problem ścisłego jej definiowania. Ta niechęć nie jest przypadkowa.

opracowaniu Pana Profesora pojawiają się nazwiska dotychczas w podobnych wyborach nieobecne np. Józef Czechowicz, Mieczysław Jastrun, Antoni Słonimski, a nawet jest Czesław Miłosz? Czyżby formuła „rewolucyjności” miała obecnie charakter otwarty?

— O umieszczeniu utworu w antologii decydowała wymowa tekstu literackiego. Wyjaśniam to wstępnie. A co do Miłosza — po ukazaniu się antologii spotkały mnie zarzuty z dwóch stron. Jedni sztydziły, że nie, że również uległem do tego stopnia fascynacji poezją tego autora, że jego wiersz zamieściłem w takim kontekście. Drugi, był oburzeni, jak śmiałem anektować utwór Miłosza do zbioru poezji rewolucyjnej! Tylko poeta, z którym spotkałem się ponownie jesienią 1983 roku w Ameryce, uznał ten fakt za zupełnie naturalny i zrozumiały.

— Wcześniej w tomie „Ze stanowiska lewicy” wykazuje Pan, że Miłosz, zwłaszcza w publicystyce na łamach „Karty” wileńskiej przynajmniej — mimo zastrzeżeń — do poglądów lewicowych.

— Oczywiście. W jednej z rozmów Miłosz nawet stwierdził, że to jego autorstwa jest tytuł: „Karta”. Przecież gdyby Miłosz nie pozostał przed wojną w kręgu lewicowej inteligencji nie zostawiłby po roku 1945 polskim dyplomata w Stanach Zjednoczonych, potem we Francji. Później zmienił poglądy, ale to już inna sprawa. To dzisiaj wielu ludziom nie gnałym historii wydaje się niemożliwe zamieszczenie wiersza Miłosza w antologii poezji rewolucyjnej. A przed wojną prawie każdy wrażliwszy inteligent sympatyzował z ruchem lewicowym, z różnymi jego nurtami od prawicy PPS, poprzez lewicę tej partii do KPP. Nie jeden autor pod wpływem obserwacji życia społecznego ulegał w pewnym momencie takim impulsom, że spod jego pióra wychodził wiersz o lewicowej wymowie jak np. Miłosza „Siens”.

W tym roku nakładem PIW ukazuje się w moim opracowaniu „Antologia lewicowej publicystyki literackiej i kulturalnej” od początku lat 80. XIX wieku do 1939 roku, w której będzie również artykuł Miłosza „Rozmowy nad Wisłą i Niemcem”. A w przygotowanej „Antologii poezji rewolucyjnej do 1918 roku” zamieszczam wiersze np. Antoniego Langego czy Leopolda Staffa, co też może zdziwić słabiej zorientowanych. W tradycji literatury światowej

Krzyżanowskiego, rozprawy Jerzego Pietkiewicza, wspomnienia proza Jana Białostockiego, utwory Mariana Pankowskiego...

— Moglibyśmy odwrócić problem i mówić o tych poezjach, na których druk wciąż czeka. Zapytam więc: czy jest taki autor, taka książka, pisarza emigracyjnego, którego chciałby Pan jak najszybciej polecić do druku w kraju?

— Takich jest jeszcze sporo. Chciałbym, by ukazały się u nas opowiadania Wacława Solińskiego, (Ich edycja zainteresowane jest Wydawnictwo Literackie). Chciałbym zobaczyć w naszych księgarniach „Inny świat” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i najciekawsze jego opowiadania o tematyce zacierpniej z historii Włoch, że dwie powieści zupełnie nieznane u nas Floriana Czarnyszewicza, niektóre książki Andrzeja Chłucka, dalsze (bo pierwsze już są) prace Józefa Czapiewskiego, „Obóz Wszystkich Świętych” Tadeusza Nowakowskiego. Można by jeszcze dłużej wyliczać...

— Literatura polska jest jedną niezależnie w jakim miejscu świata powstaje. Czyż nie tak? — Jeszcze kilka lat temu takie oświadczenie wywoływałoby oburzenie w oficjalnych kręgach. A uściślając, pani stwierdzenie dodam, że literatura polska jest jedną, aczkolwiek wewnętrznie zróżnicowaną, składającą się z wielu nurtów. Jednym z nich jest literatura emigracyjna.

— Wielu dyskutantów wspomnianego sympozjum wyraziło opinie, iż dziś termin „literatura emigracyjna” jest już przestarzały. Że jest to tylko kwalifikacja ideologiczna, a nie literaturoznawcza.

— To takie nasze przechodzenie ze skrajności w skrajność. Pisarze, którzy wybrali emigrację byłby zdumieni stwierdzeniem, że nie tworzą literatury emigracyjnej. Świadomie zostali emigrantami, dokonali ideowego i politycznego wyboru i ma to odbicie w ich twórczości, w podejmowanych tematach. Oczywiście nie każdy, kto mieszka poza krajem, jest emigrantem. Sławomira Mrońska czy Jerzego Hordyńskiego nie nazwiemy pisarzami emigracyjnymi, ale czy można zrezygnować z tego określenia piszącego Lechonia Wierzyńskiego, Józefa Wittlina, Miłosza?

— Kilka lat temu powiedział Pan: „Trzeba grupom inteligencji dać więcej swobody i zaufania. Mówienie o naszej rzeczywistości nie może odbywać się w kręgu zaklętej formu-

porówna do happeningów. Organizujemy spotkania, czy będzie interesujące zależy od wszystkich uczestników.

— Nie zawsze jednak osoba zaproszona spełnia oczekiwania, ponadto wytworzyła się grupa tzw. wiecznych dyskutantów, którzy wszystko wiedzą i na wszystkim się znają. Może należałoby bardziej otwarcie wychodzić do innych środowisk, grup?

— Ma pani rację. Zresztą, staramy się to robić. Nie zawsze jednak zapraszani przychodzą.

— Często tzw. słowo wstępne gościa „Krakowskiej Kuznicy” zamiast przetrzeć się w konstruktywną dyskusję, bywa rozmiennane na tysiące drobnych narzekan, potwierdzających w zasadzie to co wszyscy wiedzą, natomiast brakujące propozycje rozwiązań.

— Takie spotkania jak kuźnicowe łatwiej udają się w fazie narastania społecznego fermentu. Kiedy natomiast następuje przesielenie i trzeba z trudem poszukiwać konstruktywnych rozwiązań, krytykowanie nie wystarcza, życie klubowe słabnie. Mimo to pamiętam z ostatnich miesięcy kilka bardzo ciekawych spotkań: z Romanem Malinowskim, Władysławem Łorancem, panelową dyskusję nt. „Reformy i socjalizm”.

— Czy słyszał Pan ostatnią plotkę o sobie: Profesor Stępień rzucił się w wir funkcji, gdyż chciałby zasłużyć na nominację na rektora UJ. W końcu ileż lat można być tylko profesorem!

— Członek partii, rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego! Jaki to dowcip i jakiej natury uchwycił każdy, kto chociaż trochę orientuje się w klimacie panującym w Uniwersytecie. A mówiąc bardziej serio: to co w powtórzonym przez panią plotce nazwane jest „rzucaniem się w wir funkcji” — to najczęściej nieuchronna i bardzo męcząca konsekwencja wcześniejszych moich decyzji i inicjatyw. Przypisywane mi przez tę plotkę motywy są po prostu odbiciem dość rozpowszechnionego — niestety — stylu myślenia, którego horyzonty nie mogą objąć innych powodów, dla których pewne jednostki podejmują społeczne działanie. A poza tym: „być tylko profesorem” — czy to jest tak mało?

Rozmawiała:

ZDZISŁAWA OTAŁĘGA

Po południu w muzeum Diego Riverę, zwanym Anahuacalli. Znajduje się w południowej części miasta, daleko od centralnych dzielnic, na rozległym wzniesieniu z lawy wulkanicznej. Potężne, zastępnie nacięte tej lawy można po drodze zobaczyć zaglądając na mijane podwórka.

Muzeum zbudowane z brył wulkanicznych przypomina prekolumbijską piramidę, nie aztecką, gdyż to był w zasadzie pełne w środku lecz Majów, gdzie wewnątrz piramid są grobowce, tajemnicze przejścia, miejsca religijnych

Wewnątrz panuje półmrok. Ściany są ciemne. Podobnie jak na zewnątrz — z porowatych surowych lawy. W wąskich oknach są szyby z cienko rzeźbionych płyt onyksu. Przepuszczają ciepłe, żółto-brązowe światło. Na półkach, w gablotach, stoją rozmawiające kobiety, które na niego nie zwracają uwagi, na progu siedzą mężczyźni, drzemając z sombrero nasuniętym na twarz. Obok chłopca ptak. Rysował to Diego Rivera już w ostatnim okresie swego życia, jak żart wykonany w przystępie uśmiechniętego humoru. I podpisał: „Diego Rivera jako dziecko ze swym krukiem Juanem”.

sującym się w pamięć ekspozycją jest niewielki szkic czarnym ołówkiem na kartce papieru. Mały, okragły, krępy chłopczyk rysuje coś zaawansie leżąc na ziemi. Za nim, pod ścianą, stoją rozmawiające kobiety, które na niego nie zwracają uwagi, na progu siedzą mężczyźni, drzemając z sombrero nasuniętym na twarz. Obok chłopca ptak. Rysował to Diego Rivera już w ostatnim okresie swego życia, jak żart wykonany w przystępie uśmiechniętego humoru. I podpisał: „Diego Rivera jako dziecko ze swym krukiem Juanem”.

charakterystyczny, jak piramida na tle nieba, regularny wierzchołek wznosi się na wysokość prawie 4000 metrów nad poziom morza. Są w Meksyku wulkany znacznie wyższe od niego, ale stąd, z tej perspektywy, z tarasu Muzeum, Diego Riverę on jest najbliższy i prezentuje się najbardziej okazale.

W drodze powrotnej z muzeum trudno oprzeć się zadumie nad rclą i osobowością tych wielkich artystów meksykańskich. Tych, to znaczy grupy z jednego pokolenia, które wpisało się na trwałe w kulturę kraju, chociaż ich dzieła mogą budzić i budzą wśród młodszych twórców różne, często negatywne sądy. To: Diego Rivera, David Alfaro Siqueiros, Jose Clemente Orozco, Rufino Tamayo. Tylko jeden z nich jeszcze żyje: ostat-

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urodził, i także przez niego fundowane, jeszcze w budowie, ale już na ukończeniu, muzeum sztuki współczesnej usytuowane w parku Chapultepec nie opodal Muzeum Antropologicznego — i wreszcie ta piramida Anahuacalli Diego Riverę. Ile w tych wielkich znakach dawnej i współczesnej kultury meksykańskiej zawiera się serdecznego przywiązania do własnego narodu i kraju. Ile pragnienia, by przypomnieć i pokazać mu jego dawną wielkość i w odwołaniu do niej

stycznej i wiedzy o sztuce, przy ulicy Insurgentes, w pobliżu hotelu „Meksyk”, w centrum stolicy, Muzeum Rufino Tamayo w pałacyku hiszpańskim w Oachace, gdzie mieszczą się zbiory sztuki meksykańskiej przez niego zgromadzone, ofiarowane regionowi, w którym się urod

KORESPONDENCJA z BERLINA ZACHODNIEGO

S tatystycznie każdego dnia rozpoczyna się na świecie więcej niż jeden festiwal filmowy. Organizowany od 38 lat w Berlinie Zachodnim Międzynarodowy Festiwal Filmowy jest wśród nich jednym z kilku liczących się, a ściśle rzecz biorąc, jednym z ważniejszych w Europie. Jest to także pierwszy wielki festiwal w roku, a jeden z największych w ogóle.

W br. w 7 festiwalowych kinach pokazano ok. 120 filmów: w głównym konkursie filmów fabularnych (20) i krótkometrażowych, w towarzyszących im pokazach pozakonkursowych, na Forum Młodego Kina oraz na Festiwalu Filmów Dziecięcych. Towarzyszyły im ponadto promocyjne pokazy pojedynczych filmów, kinematografii narodowych, przegląd współczesnie barwnych czarno-białych klasyków, dokonania różnego rodzaju ruchów itp.

Ta mnogość jest zaletą, ale i wadą festiwalu. Ma się czas obejrzeć zaledwie to, co obowiązkowe, a z pozostałej reszty wybiera się siłą rzeczy tylko te dzieła, których twórcy gwarantują nazwiskiem, iż rzecz jest tego warta — co bywa zwodnicze — i pomija się filmy autorów mniej lub w ogóle nie znanych, a niekiedy ciekawych.

Wyłonienie z tej masy tego, co najwartościowsze jest rzeczą oficjalnego i kilkunastu innych jury, ale werydyki nie tylko tego festiwalu uodwadniają, że sprawa nie jest prosta. Decyzję przyznania Grand Prix „Złotego Niedźwiedzia” berlińskiego chińskiego filmowi „Złote Łany” Zhanga Yimou, będącemu na pewno filmem oryginalnym i ważnym dla tej kinematografii,

film „W zawieszeniu” Waldemara Krzystka pokazany na Forum Młodego Kina mimo wspaniałej gry znanej na zachodniolnemieckim rynku Krystyny Jandy oraz Jerzego Radziwiłowicza. Być może byłoby inaczej, gdyby był on jedynym polskim filmem, lub gdyby — choć jest o czym innym — nie osiągnął do tej samej epoki, co „Matka Królów”.

Z kolei francuskie „Biesy” Andrzeja Wajdy („Les Possedes”) zostały zauważone jeszcze przed premierą, przed którą bilety wyprzedano na wszystkie seanse dodatkowe. W filmie zrealizowanym za francuskie pieniądze (Wajda mówił, że próbował wcześniej znaleźć producenta w Ameryce, ale ponieważ „Biesy” są tam nieznane, trudno było rozmawiać o czymś, co nie istnieje) i przy udziale kilku aktorów francuskich, prawie cała reszta jest polska, z plenerami i studiem włącznie. Z jednym wyjątkiem, którym jest fatalnie obsadzony i jeszcze gorzej grający Omar Sharif, na którego widok musi się zachinać każda publiczność nie mogąc pojąć, dlaczego Arab udaje Rosjanina ze skutkiem takim, z jakim Murzyn udawałby Chińczyka oraz — co robi młodzi utalentowani aktor w tak doborowym towarzystwie? A Wajda na konferencji, na której sala z trudem pomieściła wszystkich chętnych dziennikarzy, mówił, że Sharif miał nawiązać tą rolę do swojej roli w „Doktorze Żywo” — ale nawet tak efektywne tłumaczenie nikogo nie przekonało.

Nie jest to jedyny słaby punkt filmu, choć widać w nim rękę mistrza. Podstawowym sinie kończące się dialogi wypełniające tyle czasu

że brakło go na pokazanie społeczeństwa, w którym działają terroryści istniejący przez to w próżni. Spowodowały też, że znudzona publiczność wychodziła z projekcji, a pozostała była tak usniona, iż nie zdobyła się nawet na grzesznościowe brawa. A Wajda stwierdził na konferencji, iż nie uważa tego za zaletę filmu, ale postacie u Dostojewskiego są określone dialogami i jeśli nie powiedzą, co mają powiedzieć to nie nie znaczą. Można by wprawdzie zastąpić dialogi obrazami — powiedział Wajda — ale byłaby to zdrada Dostojewskiego.

Mocną stroną „Les Possedes”, są zdjęcia Witolda Adamka, muzyka Zygmunta Koniecznego, kostiumy Krystyny Zachwatowicz, plenery, nastroszenie główne role męskie, w tym Jerzego Radziwiłowicza. Gdyby Radziwiłowicz miał obok korzystnych propozycji. Ale ponieważ go nie ma i jest tylko polskim aktorem, nie został nawet zaproszony na konferencję prasową.

Tyle trzeba było w Berlinie Zachodnim obejrzeć z obowiązku, ale zdążyłem jeszcze popatrzyć na inne filmy, już dla przyjemności, które w odróżnieniu od niektórych laureatów, mają zapewnioną publiczność i powodzenie. Z filmów konkursowych, poza wspomnianymi „Broadcast News” i „Moonstruck” należy do nich będący — moim zdaniem — najlepszym filmem festiwalu amerykański „Walker” Alexa Coxa. Jest to zrealizowany z rozmachem, doskonały technicznie, przewrotnie skonstruowany film rozpoczynający się jak najgorsza, rewolwerowa szmira przegodowa, przekształcający się niepostrzeżenie w krytykę kiczu. Film wykorzystuje autentyczne wydarzenia z połowy ub. wieku, obnaża i kompromituje dzisiejszą politykę USA wobec Nikaragui.

Do autentycznych wydarzeń sięgnął również twórca „Gandiego” Richard Attenborough realizując równie doskonale technicznie „Krzyk wolności” będący oskarżeniem apartheidu w RPA. „Imperium Słońca” Stevensa Spielberga to — najkrócej mówiąc — japońska okupacja Chin widziana oczyma samotnie ją przeżywającego 11-letniego wychuchanego Anglika, pięknie opowiedziana, ze wspaniałymi zdjęciami i takąż muzyką oraz ze znakomitymi w większości rolami. Inny film, który nie będzie się musiał martwić o publiczność, to „Wrzesień” z Mlą Farrow, który poza innymi zaletami ma i tę — ale to już całkiem moim zdaniem — że reżyser i scenarzysta Woody Allen nie pojawia się na ekranie.

Mam jeszcze dwie ważne, choć niepomyślne informacje dla twórców naszego kina. Pierwsza to ta, że kino siemienne, będące specjalnością naszej kinematografii ostatnich lat, pozbawione widowiskowości, atrakcyjności problemów oraz doskonałości technicznej dźwięku i obrazu, bez względu na to, jaki był ważny poruszony temat, nie ma na świecie szans. Druga dotyczy drastycznych scen erotycznych, unika ich jak ognia każdy szanujący się reżyser. Istnieją tylko wówczas, gdy czemuś konkretnemu służą, ale i wówczas filmowane są dyskretnie pozostawiając pole wyobraźni widza.

MACIEJ KUCZEWSKI

TEATR

S zekspir miał 22 lata w chwili, gdy (prawdopodobnie) urodził się John Ford. Czyli w r. 1586. Ale wtedy, kiedy Ford jako trzydziestoosmioletni dramaturg (ok. 1624.) napisał swą najbardziej wyzywającą obyczajowo tragedię *Szkoda, że jest nierządnicą* — autor podobnie bulwersującego opinii publicznej *Makbeta* nie oglądał już tego świata od osmiu lat.

Teatr renesansowy w Anglii, wydzwignięty na szczyty europejskie przez Szekspira i Marlowe’a, a później m. in. Fletchera oraz Webstera, osiągnął nowe wyżyny — głównie na gruncie tzw. tragedii maskabrycznej — w dramaturgii Massingera czy Middletona, charakteryzujących się gorzkimi oskarżeniami przesteru namiętności. Erotycznej. Szczególnie jednak oskarżeniem wynaturzeń (pod względem właśnie erotyzmu) epoki. Epoki elit dworskich, a następnie mieszczańskich. Co ciekawie, owe tragedie — zwłaszcza *Nienaturalna walka* Massingera oraz *Kobiety strzeżone* — *Kobiety Middletona*, powstałe prawie równocześnie ok. r. 1620 — przedstawiały w formie sensacyjnej uczucia zdegenerowane, osnuje wokół ponurych namiętności. I obie prócz morderstw, związanych z intrygą utworów (trup pada tam raz za razem) podejmują problem... kazirodztwa.

Ford, który okazał się podówczas największą indywidualnością twórczą wśród współczesnych mu dramatopisarzy, buduje również swoją głośną tragedię na fundamencie tematyki kazirodziej. Skąd taki pęd ku pokazywaniu ostro potępianego niemal przez wszystkie wpływe kręgi społeczne i religijne, grzesznej miłości? Wydaje się, że to nie tyle kanony moralne ani moda, ile obsesja wywołana przeżywaną rzeczywistością. A nawet, w sensie obyczajowym, ba — obrazoburczym — wyzwanie rzucane ustalonemu pseudoporzadkowi ówczesnego świata. Świata niby urządanego po bożemu, a władanego przez ludzi, co to *modlące się przed figurą, mającą diabła za skórą*. Tu, oczywiście, należałoby dodać konieczne (dla zrozumienia epoki) uzupełnienie — wyjaśnienia także i religijne podłoża wydarzeń oraz, związanej

ZWIERZENIA ESTETYCZNE

W idok banknotów wyciska tży z oczu pewnemu poecie, a wysokie honorarium budzi w nim poroższy szczerzy liryzm, bo — jak powiada — podstawą wszelkiej twórczości jest inspiracja.

Do podstaw też czyli bodźców należy sięgnąć dla zrozumienia dzieła sztuki, a są one często dziwne i niespodziewane, bo wiele tajemnych zakamarków mieści dusza artysty. A w nich, proszę Państwa, leżą starych brzytów przemierzanych ze śmieciami i fragmentami anatomii pici przeciwnej, każdy z nich natomiast zdolny jest zapłodnić Muzę, od której w ostatecznym rozrachunku wszystko zależy.

Stąd też zapewne wzięła początek definicja mówiąca, że artysta jest człowiekiem potrafiącym zrobić coś z niczego, co twórcy wszystkich dyscyplin zechcą mi łaskawie wybaczyć, bo nie ja ową maksymę wymyśliłem i — odwrotnie — ale — daleki jestem od utożsamiania wnętrza ich duszy ze wspomnianym niczym, czyli — wrem, czemu staram się dać na wstępie wyraz.

Lepiej jednak zejść ze śliskiej drogi, na którą logika mnie zawiodła i przejść w bezpieczniejsze regiony nauki, w których ona (czyli logika właśnie) ma już znacznie mniej do powiedzenia, z czym dla odmiany nasi luminarze nauk ekonomicznych zapewne się zgodzą.

Nauka zaś właśnie odkryła trzy główne inspiracje artystyczne, a mianowicie naturę, sztukę i siebie samą, czyli naukę właśnie i według tego klucza posęgięwała dzieła sztuki, bądź też doradza to zrobić, co zresztą stało się faktem w wielkiej wystawie paryskiego Centrum Pompidou.

I cóż ona wykazała? Ano to, co wszyscy wiedzą od lat, a nawet tysiące, czyli że kolejość i zasięg inspiracji przebiega na zpolu dzwucznej zasadzie. Otóż artystów w stopniu największym pobudza sztuka w postaci działalności ich przestępców lub współczesnych kolegów, w drugiej nauce, a dopiero w ostatniej to, z czym stykają się przecież najczęściej. Natura zatem, pod którą należy już dziś rozumieć całą ikonosferę

z nimi, mentalność. Czyli wpływ ostrych śpię świeżo zbudowanego protestantyzmu Anglii na walkę z papieżem Rzymu. Co zresztą daje się zauważyć również w wyborze, dokonywanym przez dramaturgów, tła wioskowego lub wyraźnie rzymskiego, jako miejsc akcji scenicznego. Niezależnie od posługiwania się zawsze „bezpieczniejszą” scenografią działającą poza własnym, ojczystym terenem.

Autor *Szkoda, że jest nierządnicą* — co stwarza w dramacie sytuację jakby specjalnie wyostrożoną, wręcz przejawskawioną, by tym widocznym ujawnić skrajności etycznego-moralne, szarpające i dręczące naturę ludzką. Można zaryzykować przypuszczenie, iż takie skupisko zbrodni, okrucieństwa, obłudy, pychy i grzesznej miłości — przy jednoczesnym demonstrowaniu moralizator-

stwa świętoszków — służy, w pierwszym rzędzie jako pretekst, demaskowaniu wszelkiej intolerancji. Choćby nawet zaprezentowane postawy istotnie domagały się powściągnięcia potępienia, Ford niejako poddając osądowi każdego widza i słuchacza uczucie zasługujące na społeczne odrzucenie i karę, otwiera mu przecież szersze pole refleksji oraz możliwości wyboru własnej oceny zdarzeń. Mimo, że te najbardziej karygodne, zrodzone z buntu i braku skrupułów kochanka — brata do obdarzającej go czystą (w przesłaniu), lecz wzbrowioną obowiązującymi normami współżycia, miłością cielesną siostrzy-kochanki, zostaną rozstrzygnięte na scenie piarską ręką. Najpierw zabójstwem dziewczyną, a później śmiercią młodego zabójcy, wcale zresztą nie uznającego swej kazirodziej przewiny.

Odnoszę wrażenie, iż moralu tej, bynajmniej nie jednoznacznej sztuki, należałoby szukać zarówno w sprzyjających niemożliwości czasach i warunkach, jak i w samych, smutnych bohaterach owej, mimo wszystko, tragi-ironicznej opowieści o zepsutych klimatach epoki następcach Szekspirowskich kochanków z Weneji. Tym razem jednak z

Weneji. Tym razem jednak z

Szkoda, że jest nierządnicą (lub, jak to podaje Allardyce Nicoll: „dziwka”) wystawił po raz pierwszy w Krakowie TEATR im. J. SŁOWACKIEGO, w przekładzie Ludmily Marjańskiej i reżyserii Włodzimierza Nurkowskiego — ze scenografią *Anny Sekuly*, z muzyką *Andrzeja Żaryckiego*, w opracowaniu choreograficznej Jacka Tomaszka i układzie pojedynków Marka Lecha.

Przedstawienie — choć mogło być bardziej zwarte, gdyby reżyser nieco skrócił część zbyt rozciągniętych (skądinąd barwnych i opieczonych urozmaiconych) obrazów i części widowiska — zachowało potoczysty rytm i stopniowy wzrost napięcia dramatycznych, aż do okrutno-driącego finału. Nurkowski rozegrał je na scenie z jakby drugą scenką renesansową, co pozwalało

mu wprowadzać do akcji nie tylko teatryczną karnawałowo-maskowo-lalkową (lalki wypożyczone z „Groteski”) wg projektu *Jana Polewki*, lecz także zamaskowane kłownia dworskich intrygantów wokół kazirodczego romansu głównych bohaterów tragedii. Tych zaś grał niemal bezbłędnie — *Bożena Adamkówna* (Annabella) i *Jan Frycz* (Giovanni). Adamkówna — urzekająca kiedyś wdziękiem młodziutka Julia z *Romea i Julii* w Teatrze TV — wycieniowała z wielką subtelnością i autentyzmem czyste intencje swojej nierządnic (lub raczej „dziwki”) dla obłudnego otoczenia, która w porwywie namiętnego, może trochę przeżętanego aktorsko, pierwszego uczucia i rozbudzenia erotycznego popada w grzech zakazanej miłości. Natomiast Frycz zademonstrował sporą skalę warsztatowych umiejętności przechodząc od „liryzmu z dystansem” do ekspresji zdeperowanego, ale wciąż pełnego pychy, nie liczącego się z moralnością, zatwardziałego winowajcy, uwodźciela własnej siostry. Uwodźciela, pomimo jej uległości. To, jak gdyby nowa twarz aktora. Bliższa „Amadeuszowi” (Mozartowi) i oddalona znacznie od debiutanckiej kreacji Brata Alberta. Dojrzała i

bardziej człowiecza w jej odmianach nie tyle Dobra, ile Zła. Chociaż i Zło też bywa pociągające, a Dobre nie musi się zawsze podobać. Jest tu na scenie, w każdym razie, sprawa do dyskusji.

Z długiej listy pozostałych osób dramatu, wyróżnionych interpretacją dość skomplikowanej postaci mniha w wykonaniu *Janusza Kruczyńskiego*, a także dowcipne wcielone dworskiego panka, chytrusa Donado, wujka i opiekuna konkurenta do ręki Annabelli (*Andrzej Balcerzak*) i tegoż trzpiotowatego siostrzeńca (*Janusz Łagodziński*) wraz ze służącym Poggio (*Jack Wójcicki*) oraz *Zbigniewa Rucińskiego* (Grimaldi) czy wreszcie dziwną parę: starszego Richardetto ze swą młodą podopieczną (*Marian Dzięciel* i *Lidia Bogaczówna*). W roli nieco rozpustnej — i nie tylko — sługi Annabelli wystąpiła, przejeżdżając rubasznoską *Maria Świętoniowska* (dubluje ją *Krystyna Hanzel*), podstępny Kardynał udający Tomasz Miedzik, a jako Soranzo, zawistny i obłudny amant, później mąż Annabelli, pokazał się bez wywypuklenia scenicznego tych cech — *Juliusz K. Warunek* (nie widziałem niestety w tej roli *Andrzeja Grabowskiego*), zaś Floria, ojca Giovanniego i Annabelli dobrane przedstawiał z fotela na kółkach: *Ryszard Sobolewski*. Porywczym Vasesquem był *Jack Strama*, a ponętą Hilipitą — *Ewelina Paszke*. Jako Postaci Karnawału przesuwali się przez scenę: *Iwona Budner* (PWSiT), *Krystyna Hanzel*, *Jolanta Łagodzińska*, *Maria Świętoniowska*, *Beata Wojciechowska*, *Stanisław Jędrzejewski*, *Stawomir Rokita*, *Łukasz Rybarski* i *Bogdan Słomiński*. Na strunach skrzypiec (głosicie) puentowała najwrażliwszą sekwencję widowiska ze świetnym wyczuciem nianów nastroju — *Halina Jarczyk*.

Spektakl cechuje harmonia reżysero-aktorska i utrzymanie założonych stylizacji teatralnej. Jest również pożytecznym przypomnieniem do poznania mało lub mniej znanej literatury dramatycznej w tuż poszepekpirowskiej Anglii. Przyczynkiem interesującym, acz z całym bagażem ówczesnej konwencji obyczajowo-artystycznej. Co, zresztą, zrozumiałe.

JERZY BOBER

człowieka wraz z walącymi się domami, które w naszej rzeczywistości stały się zjawiskiem zupełnie naturalnym.

Było tak zresztą zawsze, o czym świadczą przepiękne główki kobiece bardzo, ale to bardzo starej kultury magdaleńskiej (sprzed ok. 20 tys. lat, gdyby kto zapomniał) o wyrafinowanym typie urody zbliżonym do ileż późniejszej Neferetety. Te więc główki powtarzają się w różnych warstwach przez lat kilkadziesiąt, co najmniej, skąd wniosek, że jużłowcy mamutów woleli inspirować się idealizowanymi dziełami sztuki przeszłości, niż naturalną urodą swych żon i narzeczonych.

Tak też pozostało do dziś, by wspomnieć tylko pięć renesansów sztuki antycznej z jej estetyką i filozofią (karoliński, ottoński, paleologów, Wielki i klasycyzm, a było owych nawrotów

Większość uczestników wystawy oparła się bowiem na portretach przeszłości i niewiele, poza poprawnymi rzeźbami z tego wyniku, jako że oparcie się na mitynym polegają na nagociu rzeczywistości i swojego nań poglądu do pewnego wzorca, co w sposób automatyczny uszczupla ładunek prawdy, no a portret, ten dobry przynajmniej, winien być w pierwszym rzędzie prawdziwy, niezależnie od tego, co piękne. Panie o tym sądzą a nawet powiedzą. Oczywiście nie oznacza to, by Ostrowski tworzył portrety naturalistyczne na kształt odlewów z żywego modelu. Deformuje więc, gdyż jest artystą, a sztuka polega i zawsze polegała na deformacji, lecz czyni to we właściwej kolejności, przekształcając naturę dla uzyskania zamierzonego wyrazu, nie zaś wyraz i wygląd modelu dla uzyskania z góry założonego wzorca estetycznego i emocjonalnego.

Z tej też przyczyny jego portrety żyją, każdy swoim własnym życiem, mają więc indywidualność i różnorodność form, co kaze nam zrewidować negatywny pogląd na tzw. „lekką” lub „biustną” jak mówili zdawno („biust Napoleona jest foremniejszy od biustu Kościuski”), czyli portrety główki z ramionami, stojące jak Polska długa na wszystkich wystawach rzeźby.

Bo biust biustowi nierówny proszę Państwa, o czym przekonać się można na wystawie, którą łaskawie uwadze Państwa polecam.

JERZY MADEYSKI

KOBIETA W KOŚCIELE (1)

J eśli Jan XXIII, największy papież w dziejach nowożytnego Kościoła zostanie kanonizowany, ród niewieści, a przynajmniej ród feministyczny, powinien uznać go za swojego patrona. On to bowiem w 1963 roku, w encyklice „Pacem in terris” za jeden ze znaków czasu uznał promocję kobiet:

„Ponadto udział kobiety w życiu publicznym jest już faktem dokonanym i oczywistym... Ponieważ kobiety są z każdym dniem bardziej świadome swej godności ludzkiej, nie zgadzają się na traktowanie ich jako istot bezdusznych czy też jakichś narzędzi, lecz domagają się praw i obowiązków godnych ich ludzkiej osobowości, tak w życiu domowym jak i publicznym”.

Papież nie wspominał w encyklice o promocji kobiet w Kościele, ale katolicki ruch feministyczny, który najsilniej rozwinął się w Stanach Zjednoczonych, porywając swoimi ideami nawet część zakonnic, miał nadzieję, że kwestię — jeśli już nie równouprawnienia, to przynajmniej „dowartościowania” kobiety w Kościele podejmie, otwarty na świat i jego nowe problemy, Sobór Watykański II.

Niestety, sobór zawiódł ich oczekiwania. Ograniczył się on do podkreślenia „równej godności osobistej kobiety i mężczyzny” w małżeństwie oraz do sugestii, aby i kobietom przyznano „własności im... udział w życiu kulturalnym”. Z kolei w dekrete o apostołacie święckich postulował: „Ponieważ w naszych czasach kobiety biorą coraz większy udział w całym życiu społeczeństwa, dlatego jest sprawą wielkiej wagi większe ich uczestnictwo także w różnych dziedzinach działalności apostołkiej Kościoła”.

Być może nawiązując do tej właśnie sugestii kanadyjski kardynał Flahiff, podczas synodu biskupów w 1971 r. wysunął postulat zwolnienia komisji, która by „dogłębnie zbadała sprawę pełnienia przez kobiety pewnych funkcji w Kościele i rozprawiła, jakie funkcje najbardziej odpowiadałyby jej istocie, naturze, darom i udziałowi w dzisiejszym świecie”.

Również podczas synodu w 1983 r. inny kanadyjski kardynał, A. Vachon, zaapelował o „przezwyciężenie archaicznych koncepcji kobiecości, które zostały u nas utrwalone przez wieki”, a których wyraźny ślad widać nawet w tekstach kościelnych. Wypowiadał się też przeciw istniejącej w Kościele dyskryminacji kobiet, dodając, że „równouprawnienie obu płci musi być istotnym elementem pojednania także w Kościele, a to z kolei wymaga stworzenia odpowiednich struktur kościelnych, ponieważ obecne struktury są niesprawiedliwe dla kobiet”.

Wypowiadał też, nie pierwszy i, jak się przekonamy, nie ostatnie, przypominając przyszłowie wołanie na puszczy. Nad dyskusją w sprawie kapłaństwa kobiet unosi się niby cień słynne zdanie św. Pawła: „Kobiety niechaj milczą w Kościele!”

Głębokie przeobrażenia społeczne zmieniły model rodziny i pozycję kobiety w domu oraz w społeczeństwie. Mimo że — jak przypomniał na soborze belgijski kardynał Suenens — stanowią one „drugą połowę Kościoła” oraz większość praktykujących, udział kobiet w hierarchicznej strukturze Kościoła równa się zeru. I, sądząc po wypowiedziach Jana Pawła II, nie wskazuje na to, by istniejąca sytuacja miała ulec jakiejś istotnej zmianie.

Oczywiście, poglądy Jana Pawła II na sprawę kapłaństwa kobiet nie są nowością. Akurat w tej sprawie zajmuje on identyczne stanowisko z Pawłem VI. Przypomnijmy parę faktów:

15 października 1976 r. Kongregacja Doktryny Wiary opublikowała Deklarację, w której w sposób zdecydowany wypowiedziała się przeciwko kapłaństwu kobiet, powołując się przy tym na tradycyjne argumenty: na prawo kanoniczne, na teologię i odcieczną praktykę Kościoła rzymskiego.

Parę miesięcy później „Osservatore Romano” (z 26 lutego 1977 r.) opublikował komentarz, który — co warto podkreślić — podjął przemianą przez Deklarację sprawę

diakonatu kobiet, stwierdzając, że w najbliższej przyszłości nie będzie ona przedmiotem oficjalnych dyskusji. To, pozornie kategoryczne sformułowanie zawierało jednak sugestie, że przynajmniej tę kwestię Stolica Apostolska pozostawia otwartą.

Na temat kapłaństwa kobiet Paweł VI wypowiedział się z okazji opublikowania wspólnej deklaracji katolicko-angikańskiej podpisanej 29 maja 1977 r. przez papieża oraz prymasa Kościoła anglikańskiego, arcybiskupa Canterbury, Donalda Coggana. Wśród przeszkód utrudniających „bliższe między wyznaniemi Deklaracja wymieniała stanowisko Kościoła anglikańskiego, który decyzyjnie Synodu Generalnego z 1975 r. stwierdził, iż „nie ma głębszych przyczyn uniemożliwiających kapłaństwo kobiet”.

Poglądy papieża na tę sprawę odnajdujemy również w jednym z listów papieża do prymasa Coggana:

„Kościół katolicki stoi na stanowisku, że nie można dopuścić do kapłaństwa kobiet”. Motywując swe stanowisko Paweł VI wymienił następujące przyczyny: „przykład Chrystusa dany w Piśmie Świętym, który swoich apostołów wybrał wyłącznie spośród mężczyzn oraz stałą praktykę Kościoła, który naśladować Chrystusa również wybierał tylko mężczyzn oraz aktualną naukę Kościoła, która w zgodzie z planami Bożymi... stoi konsekwentnie na stanowisku wyłączenia kobiet z urzędu kapłańskiego”.

Pomijając pytanie, skąd papież znał plany Pana Boga

oraz fakt, że to właśnie Jezus był tym, który pierwszy „dowartościował” kobiety nie można przecenić roli kobiet w pierwotnym chrześcijaństwie. Działy one jako „prorokini” (co nb. denerwowało apostoła Pawła), misjonarki a nawet diakonisy, ale nie znajdźmy przecież dokumentu, w którym słowa episkopos czy presbyteros wiazałyby się z imieniem kobiet.

Wracając natomiast do dialogu z anglikanami, wypadnie stwierdzić, że nie był on ani główną ani jedyną przyczyną, która skłoniła Stolicę Apostolską do ogłoszenia deklaracji Kongregacji Nauki Wiary. W dokumencie tym widzieć należało przede wszystkim odpowiedź na wysuwane w różnych środowiskach postulaty dopuszczenia kobiet do urzędu kapłańskiego, a przynajmniej — o takie poszerzenie dekretu o diakonacie, który by objął również kobiety.

Postulaty te były wysuwane przez różne gremia. Propozycję objęcia diakonatem kobiet wysunęło np. obradujące w Paryżu w 1975 r. międzynarodowe kolokwium. Jeszcze dalej poszedł zjazd przedstawicieli zakonów w Houston (1973), który domagał się kapłaństwa kobiet. Podob-

nie stanowisko zajęła Konferencja Rad Kapłańskich USA (1977 r.), twierdząc, że o niedopuszczaniu kobiet do kapłaństwa decydują nie tyle względy biblijne ile „bariera pici”. Z kolei zwolana do Detroit konferencja duchownych i świeckich działaczy ze Stanów Zjednoczonych dodała do wymienionych wyżej postulatów także zniesienie celibatu duchownych.

Już w 1964 r. wybitny teolog Karl Rahner ostrzegał, że Kościół powinien, i to pilnie, „uznać równouprawnienie w swym łonie”, ponieważ brak kapłanów zmusi go w końcu do przyznania kobietom prawa uczestniczenia w działalności apostołkiej”. Kryzys powołał kapłańskich, masowe porzucenie klasztorów przez zakonnicę w późniejszych latach dowiodły, że niemiecki teolog nie rzucał słów na wiatr. W wielu krajach, zwłaszcza na kontynencie latyno- amerykańskim ostry deficyt kadr hamuje bardzo poważnie pracę duszpasterską.

Próbując temu zaradzić Stolica Apostolska wprowadziła w 1973 r. urząd diakona zezwalając zarazem na udzielanie tych niższych święceń ludziom żonatym. Przyznając diakonom dość szerokie uprawnienia (oprócz odprawiania mszy i słuchania spowiedzi mogą oni wykonywać akty kultu w dziedzinach zastrzeżonych dotąd dla księży), liczone, że stały diakonat wypełni dotkliwe luki w kadrze duchownych. A zarazem, pominięte jak krytykowanego przez Niemca część kleru celibatu, skłoni wielu katolików do zaangażowania się w pracę duszpasterską.

Objęcie stałym diakonatem kobiet byłoby swego rodzaju „tylną furtką” wprowadzającą kobiety do stanu kapłańskiego. Równocześnie, jak twierdzą zwolennicy takiego rozwiązania, stałoby się pierwszym krokiem w kierunku „zlikwidowania wielowiekowej dyskryminacji kobiet w Kościele”.

Nie zajmując stanowiska w tym, toczącym się od wielu lat, sporze można powiedzieć że wprowadzenie stałego diakonatu kobiet nie byłoby posunięciem rewolucyjnym. Wszak kobiety, choć nie piastują żadnego z kościelnych urzędów, biorą od dawna aktywny udział w pracy misyjnej i katechetycznej.

Na razie jednak zwolennicy kapłaństwa kobiet, których wg „Time” (z 7 września ub. r.) jest w Kościele katolickim USA ponad 50 proc. doznał kolejnej porażki. Z wypowiedzi Jana Pawła II podczas jego drugiej podróży do Stanów Zjednoczonych we wrześniu 1987 r. trudno „wyłowić” słowa które mogłyby podsycać nadzieję na zmianę stanowiska Stolicy Apostolskiej w tej sprawie.

Wbrew oczekiwaniom niewiele czasu i miejsca poświęcił jej też ubiegłoroczny październikowy synod biskupów. Amerykański biskup M. Weakland zaproponował, aby przekazać kobietom część tych funkcji, które nie wymagają święceń — tak liturgicznych, administracyjnych, jak i nawet... dyplomatycznych¹⁾.

Do bardziej śmiałych należały głosy: belgijskiego kardynała G. Dannelsa oraz kanadyjskiego biskupa J. G. Hamelina. Pierwszy uznał, że należałoby zastanowić się nad ewentualnym diakonatem kobiet. Drugi — powiódł często podnoszone przez zwolenników kapłaństwa kobiet twierdzenie, że argumenty przeciwko udzielaniu święceń kapłańskich kobietom są mało przekonujące.

Można przecieć wątpić czy te pojedyncze i ostrożne głosy wpłyną na kształt dokumentu, którego przygotowanie synod powierzył papieżowi.

Sprawdzącą kwestię z wyżym teologii na ziemię rzucić można, że — jeśli ciśnienie potrzeb okaże się silniejsze niż tradycja i uprzedzenia — sprawa diakonatu kobiet wypłynie ponownie na wierzch. Na razie... synod nie potrafił rozstrzygnąć samodzielnym problemu: czy dziewczęta mogą służyć do mszy jako ministrantki²⁾.

WIESŁAW MERCIK

¹⁾ Dekret Kurii Rzymskiej z 1971 r. przyznal zakonnikom prawo udzielania, w pewnych przypadkach, komunii. Kanadyjski biskup R. Lebel mianował zakonnicę wikariuszem generalnym diecezji Valleyfield, a Gisele Turcot była przez trzy lata sekretarzem generalnym Zgromadzenia Episkopalnego, (czyli za „Le Monde” z 9. 9. 1984 r.).

²⁾ Zakaz służenia dziewcząt do mszy zawiera dekret Kurii Rzymskiej z 5. 9. 1970 r. I już na marginesie artykułu można dodać, że kapłaństwo kobiet odrzucają zdecydowanie także Kościoły wschodnie.

Dr Gale, znakomity amerykański specjalista chorób krwi, schorzeń nowotworowych i przeszczepu szpiku kostnego, przyjeżdża do ZSRR, by obejrzeć pacjentów z chorobą popromienną, spotkać się z radzieckimi lekarzami, skonsultować wyniki badań. Na pytanie, czy jego prognozy dotyczące leczenia chorób w Moskwie okazały się zgodne z faktycznymi wynikami, odpowiada: ogólnie rzecz biorąc tak, ale w przypadkach szczególnie trudno

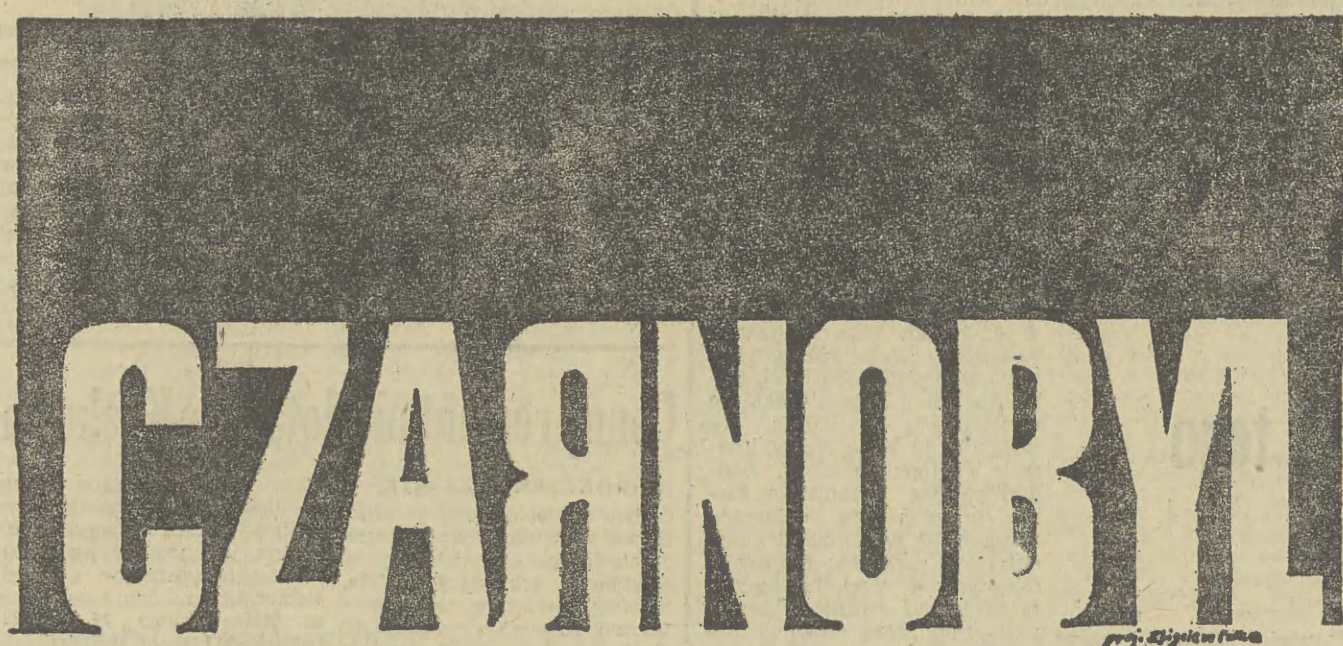
jest cokolwiek powiedzieć... — oto kolejny fragment sensacyjnej powieści Jurija Szerbak, lekarza i pisarza, który udziela pomocy ofiarom wybuchu w elektrowni atomowej wykorzystującej swoje doświadczenia i spotkania z ludźmi, dokumentując wydarzenia tamtych tragicznych dni. Książka, którą prezentujemy od kilku miesięcy, znajduje się w centrum zainteresowania wielu światowych wydawnictw.

Doktor Hammer i doktor Gale

Z doniesień prasowych: „15 maja Michaił Gorbaczow przyjął na Kremlu znanego amerykańskiego przemysłowca i działacza społecznego A. Hammera i doktora R. Gale, którym podziękował serdecznie za okazane współczucie, zrozumienie i natychmiastową pomoc okazaną ludziom radzieckim w nieszczęściu, jakim okazała się awaria elektrowni atomowej w Czarnobylu... Zachowanie A. Hammera i R. Gale — podkreślił M. Gorbaczow — jest dla obywateli Kraju rad przykładem tego, jak powinny kształtować się stosunki między dwoma wielkimi narodami, pod warunkiem istnienia dobrej woli i politycznej dalekowzroczności przywództwa obydwu państw”. („Prawda”, 16 maja 1986 r.)

Ranitem 23 czerwca na lotnisku Boryspolskim w Kijowie wylądował biały „boeing-727” z flagą Stanów Zjednoczonych i niebiesko-czerwonym napisem „N10XV”: numer jeden w koncercie „Occidental Petroleum Corporation”, którego

JURIJ SZCZERBAK



tego prezydentem jest właśnie Armand Hammer. Niezrównowagowany 88-letni biznesmen corocznie „zalicza” przy pomocy tego samolotu — wyposażonego we wszystko niezbędne do życia, od gabinetu po łazienkę — setki tysięcy kilometrów kierując skomplikowaną i różnorodną działalnością koncernu.

Do Kijowa przyjechali A. Hammer z żoną, a także doktor Robert Gale z żoną i trójką dzieci.

Od razu po przyjeździe A. Hammer z osobami towarzyszącymi udał się do Oddziału Kardiologicznego Kijowskiego Szpitala Klinicznego nr 14 im. Rewolucji Październikowej, tego samego, w którym na bloku reanimacyjnym pracuje Maksym Dracz. Ubrany w śnieżnobiały fartuch, wspominając swoją młodość (jest przecież z wykształcenia lekarzem), doktor Hammer wizytował oddział, gdzie po awarii w Czarnobylu znajdowało się na obserwacji ponad dwieście osób, które w swoim czasie przebywały na niebezpiecznym terenie zony. Wtedy już prawie wszyscy zostali wypisani do domu. Na oddziale tego dnia było zaledwie pięć osób wezwanych przez lekarza w celu przeprowadzenia badań kontrolnych.

Doktor Hammer żywo interesował się samopoczuciem każdego z tych ludzi. Asystował mu doktor Gale, który wcześniej, podczas poprzedniego pobytu w Kijowie, widział tych pacjentów. Jeszcze tego samego dnia A. Hammer i R. Gale przelecieli helikopterem nad terytorium elektrowni, oglądając zburzony czwarty reaktor. Miałem okazję towarzyszyć im i teraz często we śnie i na jawie prześladowa mnie to wspomnienie: lot nad czwartym blokiem energetycznym, szubrawienie nad ogromnym, białym, martwym kompleksem zabudowań elektrowni, które już pomalą ogarniał mrok, pasyasty białoczerwony komin nad połyskującą taflą zalewu, kręty bieg rzeki Prypieć, fantasmagoryczne sploty przewodów, rusztowania, nagromadzenie pomocniczych zabudowań — całe to porzucone przez człowieka królestwo techniki. Jak w każdym wspomnieniu, ginącym w odległych czasach, tak i tu realne formy pomalą ulegają zatarciu, wiele z nich traci wyrazistość konturów, pozostałe jedynie nie zmienione uczucie trwogi i bólu — takie samo, jak w ten letni wieczór. Z twarzą przy iluminatorach wpatrywaliśmy się z pokładu Mi-8 w magiczną, przykuwającą spojrzenie widok: czarna wyrwa czwartego reaktora, zburzone konstrukcje, ich odłamki poniewierające się u podnóża...

Po skończonym locie, stojąc przed kamerami telewizyjnymi, Armand Hammer powiedział:

„Przed chwilą wróciłem z Czarnobyla. To, co tam widziałem, zrobiło na mnie takie wrażenie, że trudno mi o tym mówić. Widziałem całe miasto — pięćdziesiąt kilometrów, w którym nie ma ani jednego człowieka. Wszystko jest puste. Duże budowle znikają pustką. Przed domami schnie na sznurach bieleźna, której ludzie nie mieli nawet czasu pozbiierać. Widziałem, jak przebiegają prace nad zabezpieczeniem zniszczonego reaktora, żeby już więcej nie zagrażała ludziom. Pragnąłbym, żeby każdy człowiek mógł tam być i ujrzeć to, co ja widziałem. Nikt wtedy z pewnością nie mówiłby o broni jądrowej, wszyscy dowiedzieliby się, że to samobójstwo naszego świata, i zrozumieliby, że powinniśmy się bronić zniszczyć. Mam nadzieję, że kiedy mister Gorbaczow spotka się z misterem Reaga-

nem, pokaże mu film o Czarnobylu i wszystko opowie. A jeżeli w przyszłości Reagan przyjedzie do ZSRR, chciałbym, żeby odwiedził Kijów i Czarnobyl, zobaczył to, co dane było ujrzeć mnie. Myślę, że wtedy przestanie mówić o broni jądrowej”.

Armand Hammer jest człowiekiem niezwykłym. Być może sekret jego niespożytej energii zawiera się w umiejętności całkowitego odprężania się w wolnych chwilach. Gdy tylko nasz helikopter wystartował z Kijowa, Hammer natychmiast pograżył się w drzemkę. Doktor Gale troskliwie otulił go płaszczem. Ale gdy tylko zabrzmiło słowo „Czarnobyl”, ten stary, mądry człowiek odmiął się nagle, badawczo wpatrując się w rozpościerający się pod nami widok i cień naszego helikoptera. Zauważył wszystko — piętnastopiętrowe bloki w Prypieci z wypraną bieleźnią wiszącą na balkonach, całą okolicę wymarłą i nienaturalną. A w drodze powrotnej zasnął znów.

Wieczorem tego samego dnia Armand Hammer odleciał z Kijowa do Los Angeles. Doktor Gale z rodziną został jeszcze na kilka dni, żeby spotkać się z kolegami w Kijowie, wypocząć w naszym mieście, zapoznać się z jego zabawkami. Przecież podczas jego pierwszej wizyty, która miała miejsce 3 czerwca, doktor Gale nie miał do takich spraw głowy: trzeba było skonsultować grupę chorych, znajdujących się w kijowskim instytucie rentgenoradiologicznym i onkologicznym pod opieką profesora L. Kindzelskiego.

Miałem okazję towarzyszyć doktorowi Gale w czasie jego pierwszej wizyty w instytucie. Doktor Robert Peter Gale wyglądał bardzo młodo na swoje czterdzieści lat, jest wysportowany (rano obowiązkowa godzina joggingu), smagły, skupiony i lakoniczny, o wnikliwym spojrzeniu szarych oczu. Mimo zewnętrznej pozornej oschłości i typowo amerykańskiej rzeczowości, jest bardzo sympatyczny i kontakt z nim sprawia przyjemność — tak poważnie, obszernie i cierpliwie odpowiada na liczne pytania reporterów. Ponadto jest bardzo elegancki: granatowy blezer ze złotymi guzikami, bordowy krawat, popielate spodnie.

Przed wejściem mi wszyscy, goście i osoby towarzyszące, przebraliśmy się w białe fartuchy, włożyliśmy czepki i maseczki z gazy, specjalne obuwie ochronne. Nagle staliśmy się bardzo do siebie podobni: nie dało się odróżnić Ame-

stwie zawód lekarza cieszy się ogromnym szacunkiem. Chciałem zostać lekarzem.

— Ile miał pan lat, kiedy się pan na to zdecydował?

— Zaczęłam naukę w college'u w wieku szesnastu lat.

— Czy medycyna miała jakieś tradycje w pańskiej rodzinie?

— Nie. W mojej rodzinie nie było lekarzy. Ojciec jest przemysłowcem.

— Czy jest pan zadowolony ze swego zawodu?

— Często spotykam się z podobnym pytaniem: „Teraz, kiedy już osiągnął pan światową sławę, co by pan chciał zmienić w swoim życiu?”. Zawsze odpowiadam, że jestem całkowicie zadowolony ze swojego życia, także z tego okresu, kiedy jeszcze byłem nieznanym nikomu lekarzem, i nie miałbym ochoty zmieniać w nim niczego.

— Panie doktorze, znam wielu onkologów i hematologów i wiem, że jest to zawód wymagający ogromnej wytrzymałości psychicznej. Przecież na co dzień ma pan do czynienia ze śmiercią i ludzkim nieszczęściem. Jaki jest pański stosunek do tego zjawiska?

— W pewnym sensie ma pan rację. Z psychologicznego punktu widzenia to ciężki zawód. Ale skądinąd fascynuje mnie właśnie to, że jest wyzwaniem. Onkolog i hematolog musi często podejmować bardzo trudne decyzje, znajdować wyjście z pozornie beznadziejnych sytuacji, które są wynikiem naszej niewiedzy w tych trudnych dziedzinach. Dlatego wydaje mi się, że właśnie w onkologii jest jeszcze tak wiele do zrobienia, istnieje spory margines twórczości. W college'u często dyskutowaliśmy, co jest lepsze — komponować muzykę czy grać? Jeżeli jesteś kardiologiem — „grasz”, a w onkologii — „komponujesz”. Wiele w niej nowego, niewiadomego. Poza tym ma dobre przygotowanie zarówno naukowe, jak i praktyczne. Właśnie w onkologii i hematologii łatwo jest powiązać wyniki naukowych badań laboratoryjnych z pracą w szpitalu, z macmalną pomocą niesioną cierpiącemu człowiekowi. Nieprzypadkowo bowiem pierwszymi chorobami, których uwarunkowania genetyczne zostały niebicie udowodnione, były właśnie choroby krwi — na przykład zaburzenia syntezy hemoglobiny. Czy wie pan, że większość nagród Nobla w dziedzinie medycyny w ostatnich latach przyznano właśnie za opracowanie tych problemów?

— Jak wygląda pańska praca, codzienne obowiązki w klinice w Kalifornii?

— Jako kierownik kliniki wiele czasu tracę na wizyty u pacjentów i rozmowy z nimi. Moi chorzy często cierpią na dość popularne rodzaje nowotworów — np. rak płuca. Dbam o swoich chorych jak zwykły lekarz. Pewną ilość czasu zabiera mi kierowanie niewielkim ośrodkiem badawczym, który zajmuje się zbieraniem danych statystycznych z wyników zastosowania nowych metod leczenia białaczek, przeszczepów szpiku kostnego i innych. Na koniec coś bardzo ważnego — moje własne laboratorium, w którym przeprowadzane są podstawowe badania nad mechanizmem powstawania białaczki (badania patogenetyczne komórek). Być może to wszystko stwarza wrażenie, że rozmięgam się na drobne, ale nie zgadzam się z podobnym stwierdzeniem Koncentruję na trzech wymienionych kierunkach, ponieważ przyswiera mi cel nadrzędny: chcę znaleźć efektywne metody leczenia białaczki. I wydaje mi się, że pierwsze wyniki otrzymamy właśnie w laboratorium. Do czego zmierzamy? Jaka jest podstawowa idea naszych badań? Ani jedno dziecko nie powinno umierać na białaczkę. W tym celu powinniśmy uczynić wszystko, co w naszej mocy.

— Czy w pańskiej klinice notowane są wypadki uleceń ostrej formy białaczki, jej przechodzenie w postać chroniczną?

— W roku 1986 udało się nam wyleczyć około 70 procent dzieci z białaczką i około 30 procent dorosłych. W sumie okazuje się, że stanowi to dokładnie połowę chorych.

— To fenomenalny wynik!

— Niestety, większość ludzi nie ma pojęcia o tym, jak daleko zaszliśmy w leczeniu białaczek. Ale połowa chorych — to już dziś za mało. Przecież druga ich połowa umiera. Na przykład w tym roku dwieście tysięcy Amerykanów umrze na raka...

— W prasie podawano, że ma pan stopień naukowy doktora filozofii. Na jaki temat pisał pan pracę doktorską?

— Tematem mojej pracy było życie i śmierć. Jedność życia i śmierci w planie filozoficznym. W mojej biografii, która ukazała się drukiem w Stanach, również poruszam ten temat.

— Co mówi pan swoim chorym, kiedy już postawi pan diagnozę?

— Zawsze mówię swoim pacjentom prawdę, podaję wszystkie fakty. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale jesteśmy zwolennikami poglądu, w myśl którego człowiek powinien mieć prawo do pełnej informacji. Chodzi o to, że najistotniejsze decyzje dotyczące leczenia powinny być podejmowane przez chorego. W tym celu powinien on mieć zapewnione maksimum wiarygodnej informacji. Nie zawsze to „wypala”, ale nie mamy innego wyjścia.

— Czy miał pan do czynienia z chorobą popromienną, zanim przyjechał pan do Moskwy, żeby leczyć pacjentów poszkodowanych w czasie awarii w Czarnobylu?

— Tak, miałem pewne doświadczenie. W szeregu przypadków zachorowań na białaczkę niezbędny jest przeszczep szpiku kostnego. Poddajemy wtedy świadomie pacjentów dużemu napromieniowaniu, czasem na granicy dawek śmiertelnych. Mamy więc dość duże doświadczenie w leczeniu chorych, którzy otrzymali duże dawki promieniowania z kilku tysięcy remów (biologiczny ekwiwalent rentgena).

— Czy pańskie prognozy dotyczące leczenia chorych w Moskwie okazały się zgodne z faktycznymi wynikami?

— Ogólnie rzecz biorąc, tak, jeśli brać pod uwagę prognozę statystyczną. Ale w przypadkach indywidualnych bardzo trudno jest cokolwiek przewidzieć na pewno. W ogóle to bardzo skomplikowany problem etyczny i duża odpowiedzialność — przewidywanie czegośkolwiek. W danym przypadku mówię już nie o czarnobylskich chorych, ale o pacjentach mojej kliniki. Przypuśćmy, że spośród stu pacjentów, u których niezbędny jest przeszczep szpiku kostnego, pięćdziesięciu będzie żyło. Ale dla tych pięćdziesięciu, którzy umrą, ten fakt jest niewielką pociechą. My skracamy ich życie swoimi metodami leczenia. I dlatego za każdym razem, kiedy umiera chory, którego życie stało się krótsze z powodu naszych metod terapeutycznych, czuję się osobiście za to odpowiedzialny. Muszę dźwigać to brzemie odpowiedzialności za ich śmierć, nie mam innego wyjścia. Najprostszym wyjściem z sytuacji byłaby rezygnacja z przeszczepów, ale wtedy odmówiłbym prawa do życia zdecydowanej większości chorych.

(c.d.n.)

Thumaczyła WALERIA PAWŁOWICZ

(Junost' nr 7, 1987)

— 42 —

— Cóż to takiego? — roześmiał się naprawdę zapominając na chwilę o sobie.

— A chcę wrzeć trafić ze skargą gdzieś wyżej. Myślałem, że zrobię skandal, a o to mi chodzi... Czy pan wie, co oni tu zorganizowali na moją cześć w zeszłym roku? Wiedzieli, że jadę do województwa, Razec jasna, że zawsze się spiesze, no i ustawili na odcinku gdzie obowiązywał ograniczenie szybkości, trzy radary pod rząd. Zapłaciłem raz. Razec jasna, dałem zaraz do dechy, żeby nadrobić stracony czas, a tu za 300 metrów drugi radar. Teraz już kłótnia Pokazałem mandat, a oni na to, że teraz będzie dwa razy więcej. Nie było czasu, i sensu też, żeby się kłócić. Zapłaciłem. No i dopiero wtedy zaszaleli. Gaz do dechy. Przy trzeciej kontroli za pół kilometra zabrał mi prawo jazdy... Nie kochają mnie tutaj władze, nie kochają... Jestem, jesteśmy. Agregat pracuje, nie będą nas straszyć przyducha.

Pierwszą dni były najgorsze. Praca była na ukończeniu i nie mógł zabijać robota niepokoju, nie miał kogo siebie swoich bezrefleksyjnych współpracowników, był coraz bardziej niespokojny. Znikła dawna spójność świata. Razec widział, jak marnieje, jak się kończy... Wszystko. Nie ma perszersona Razeki. Skończyła się wywózka wielkich pił stuletnich sosn. Dawna puszcza skarlała do młodników i chuderlawych stanów półwiekowych sosn, nie potrzebuje końskiego osiłka, wyrzucającego grube pnie z gestem podziwisty... Głnia rybakie łódzie, kto ma wypływać na puste jezioro... Nawet Marycha zrezygnowała, przestała szukać zatopionego w mule barnetu.

W tych dniach często wchodził się po puszczy na pożyczonym od Razeki rowerze. Któregoś wieczoru omal nie przyprowadził Marycha Górala o atak serca przywożąc mu pełny stoik ubieranych żurawin. Teś długo rozpytywał

TRIUMF PRAWDY

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

A.R.: Nie miałem własnych oświadczeń. Szperałem, odtwarzałem wydarzenia na podstawie ówczesnych informacji prasowych, książek, które już istniały, i w oparciu o relacje mnóstwa ludzi, którzy to po prostu przeżyli.

J.: Pytanie o wiarygodność postaci i charakterów przedstawionych w powieści jest w ostatnich miesiącach przedmiotem żartów dyskusji na łamach naszej prasy. Czy naprawdę Kirov był w Soczi, czy uczestniczył w powstawaniu podręcznika historii partii, czy rzeczywiście Ordożnikowski spotkał się z Kirovem w przededniu jego tragicznej śmierci?

A.R.: Wszystko to, o czym napisałem w książce, oparte jest na materiałach dokumentalnych, chociaż trudno pisarzowi odmówić prawa do fikcji literackiej. Kiedy ukazała się powieść Tołstoj „Wojna i pokój”, w sześćdziesięciu opracowaniach dowodono, że pisarz dopuścił się wielu nieścisłości, że Kutuzow nie nocował w Filach, nie robił tego, nie powiedział tamtego. A czy istnieje dowód na to, że Napoleon, przejeżdżając przez pole bitwy pod Austerlitz, zobaczył Andrzeja Bolkonskiego i powiedział: „Jaka piękna śmierć”? Kto to widział, kto to słyszał? Nic takiego nie miało miejsca. Pisarz ma prawo do snucia domysłów, niemniej starałem się wiernie trzymać faktów. Wiedziałem doskonale, o czym piszę i jak zostanie to odebrane.

J.: W ciągu ostatnich lat napisał pan wiele dużych objętościowych rzeczy — m.in. scenariusze filmowe — nie mówiąc już o „Ciekim piasku”. Jak pan to wszystko pogodził?

A.R.: Tak, wiele pracowałem, przecież muszę jakoś żyć. Nie zapomniałem jednak o „Dzieciach Arbatu”, pracowałem nad tym cały czas, nie oglądając się na nic i nikogo... Kiedy za granicą pytano mnie: „Dlaczego nie wyda pan powieści na Zachodzie?”, odpowiadałem: „Bo ta książka jest potrzebna mojemu narodowi, mojej ojczyźnie”. Pisarz może się spełnić tylko wtedy, gdy nie zastanawia się nad tym, czy zostanie wydany, czy nie. W końcu przecież napisałem powieść. Gdybym spekulował, wyważał, to co miałbym z tego teraz? Nic w znanym. W 1982 r. wszystkie trzy części powieści były już ukończone i zabrałem się do pisania następnej książki — o latach trzydziestych, o wojnie... Kiedy skończyłem, to kolejną moją rzecz, przeznaczoną dla młodzieży, otrzymał „Junost’”.

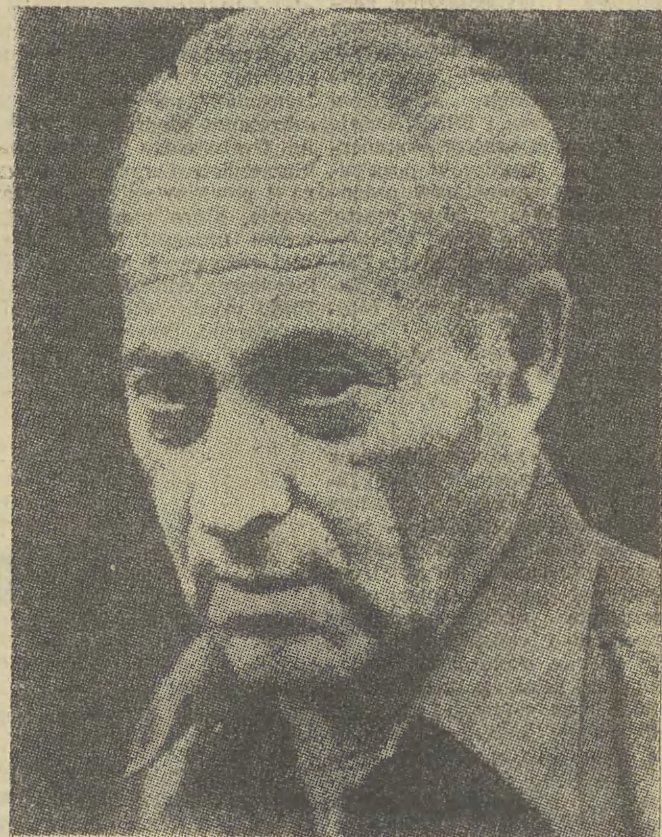
J.: Czekamy z niecierpliwością, a na razie chcielibyśmy wiedzieć, jak posuwa się praca nad nową książką?

A.R.: To trudne, bardzo trudne, szalenie ciężki okres...

J.: Otrzymuje pan ogromną ilość listów, niektóre z nich zostały opublikowane. Czy pomagają one panu w dalszej pracy?

A.R.: Przypuszczałem, że powieść może stać się sensacją, ale nie oczekiwałem, że aż w takim stopniu. Tymczasem się ją prawie wszędzie. Spodziewałem się, że napiszą do mnie „stalinowcy”, i tak się stało faktycznie, ale jest ich niewielu, około 10 proc. Są listy od dzieci osób represjonowanych, wstrząsające listy od tych, których ojcowie trzymali w rękł losy naszego kraju. Nie spodziewałem się jednak takiej ilości listów od ludzi młodych w wieku 17—32 lata. Połowa wspaniałych, mądrych listów pochodzi od żadnej prawdy młodzieży. Jeden z nich stwierdzał: „Dotychczas żyłem jak bezduszna maszyna, a teraz poczułem się człowiekiem. Myślę, czuję, wiem. Przeczytałem pańską książkę i wiele zrozumiałem. Rozmawiał pan ze mną jak z człowiekiem, a z narodem należy rozmawiać po ludzku!”.

J.: Te listy z pewnością świadczą o tym, że pańska książka zrobiła wiele dobrego w sprawie przekonania młodego pokolenia do przebudowy. Iż poprzednich pokoleń dźwigało na sobie ciężar minionych lat? Z jakim trudem nawet moi rówieśnicy, urodzeni na przełomie lat 50-tych i 60-tych, odchodzą od szablonów myślowych, od niechęci do samodzielnego rozumowania, działania, a co najważniejsze, od „spiaczki duchowej”? Chciałabym bardzo, żebyśmy byli ostatnim pokoleniem, które swoim losem odpuściło za błędy przeszłości.



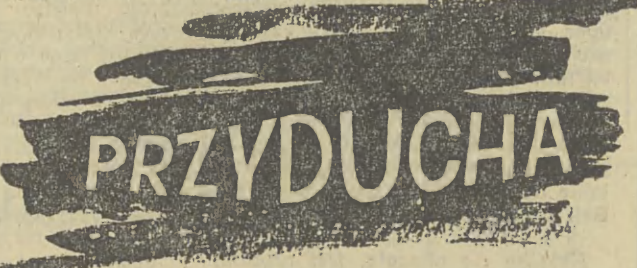
Anatol Rybakov: pisarz może się spełnić tylko wtedy, gdy nie zastanawia się nad tym, czy zostanie wydany, czy nie.

Fot. Archiwum

A.R.: Młodzież zawsze dąży do samowyznaczenia, zaczyna poszukiwanie prawdy w wieku 16—18 lat. Z natury młodzi ludzie są aktywni politycznie, wielu z nich przejęło z Zachodu tylko zewnętrzne atrybuty współczesności — ubiór, fryzury... Sądząc z listów większość z nich jest spragniona prawdy, wiedzy politycznej, udziału w życiu społeczno-politycznym. Jakże oni mają wiadomości z zakresu rodzimej historii, jak bardzo chcą wiedzieć jeszcze więcej, jak żmudnie, ziarno do ziarnka, zbierają fakty! Młodzież zaczyna poszukiwania na własną rękę już zauważyć, że coś jest przez nią ukrywane. Chce znać historię swojej ojczyzny, a dotychczas podawano jej na tacy półprawdy albo fałsz. Człowiek wychowany na półprawdach jest niemoralny i społeczeń-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

ROMAN BRATNY



— 41 —

Ale miał szczęście on i miał mój przyjaciel: postrzał był powierzchowny, wewnętrzności nie naruszone. Zeszły, opatrzył, przykreślił tajemnicę. I utrzymała się tajemnica aż do karuzeli. Bo potem mówili wszyscy. Nawet Ruda Julia zeznała o protokołu: pijany, gdy zaczęła mu uderać, że strzelać nie potrafi i wraca z niczym jak ostatni pudłarz, wystrelił w jej stronę. Na pewno chciał tylko przestraszyć — jeszcze go bronili... No i zniknął nasz Pierwszy bez śladu, ale z „Koreańczykiem” to się od tej pory bardzo nie lubimy. Bo on był jego fagusem od spraw różnych, to jego pomysł ten myśliwski domek...

— Znam sprawę konia... — włączył się Dasio, niby swobodny, reagujący na to co słyszy, ale sparaliżowany niedobrym przecuciem. Na próżno się uspokajał: głupia chrypa i jeszcze głupszy panikujący lekarz.

Zbliżali się do rozwidlenia dróg — w lewo na teren, gdzie osiedlił się profesor Bochnio i łomotał dostykalny już agregat a prosto do siedziby spółdzielni Mameczaka.

Ten skreślił, lecz po przejechaniu kilkunastu metrów zahamował. Dasio, nieco zdziwiony, że w tym miejscu wyczerpała się jego uprzejmość, podziękował i otwierał drzwi, szysząc jak do wyśiadania.

— Zaraz, zaraz, to nie potrwa długo. Przecież tam na mnie czeka.

Dopiero teraz obejrawszy się przez ramię zobaczył, że sto metrów za rozwidleniem dróg stoi milicyjny samochód.

— Sierżant Zurek, kontrola dokumentów — mruknął Mameczak, wrzucając wsteczny bieg. I tak, tyłem pokonał zakręt i podjechał aż do milicyjnego samochodu. Nieco skonfundowany milicjant stał na brzegu drogi.

— Proszę, kontrola dokumentów na ochotnika... — dyrektor przez uchyloną szybę podawał swoje papiery.

— Delegacja jest?

— Oczywiście, specjalnie dla pana...

Sierżant był zbity z tropu nietypowym sposobem nawiązania kontaktu i rzuciwszy okiem na papiery zwrócił się kierowcy.

— Jeszcze raz się nie udało... — Mameczak jechał wolno, prowadząc jedną ręką, drugą szperał w komplecie dokumentów, które położył obok siebie na siedzeniu.

— O, proszę — podał Dasio w delegację.

— Oni stają mnie łapia. Chyba już mówilem, żebym jechał do pożaru mam mieć delegację wypisaną czarno na białym. Nie lubi mnie, komendant nie lubi... — uśmiechał się kpiąco. — No i co, jak się panu podoba?

— Co takiego?

— Delegacja. Niechże chociaż pan ją przeczyta jak należy.

I osłupiały Dasio odczytywał bez trudu wypisane wyraźnie zdanie: „wyjazd służbowy celem dostarczenia dupy do pocatowania”...

Z czwartkowej debaty w Sejmie nad polityką zagraniczną

Marian Orzechowski:

Polska — Watykan: kierujemy się myślą o przyszłości i w przyszłość przede wszystkim patrzymy

Polska—NRD: Nie może być mowy o żadnej aneksji polskiej przestrzeni wodnej

Do poruszonych w dyskusji kwestii, propozycji i pytań odniósł się min. M. Orzechowski. Stwierdził, że z przebiegu sejmowej debaty wynikała się jednomyślnie opinia, że polityka zagraniczna państwa na zasadnicze kierunki i zadania polskiej polityki zagranicznej. Stała się ona jedną z płaszczyzn porozumienia narodowego. Intencją rządu jest pielęgnowanie i umacnianie tej jednomyślnie Minister wskazał, że przejawem takich intencji jest koalicyjne współdziałanie partii, stronictw politycznych i wszystkich sił narodu we współkształtowaniu i współodpowiedzialności za politykę zagraniczną państwa. Wyrazem tego koalicyjnego współdziałania w coraz większym stopniu staje się polityka kadrowa w służbie zagranicznej. Drzwi do niej są coraz szerzej otwarte dla każdego, kto ma ku temu odpowiednio predyspozycje i kwalifikacje.

Nawiązując do wystąpienia posła Bendera — minister Orzechowski powiedział: Chcę podkreślić, że rozwój wszechstronnych stosunków przyjaźni i współpracy z NRD leży nie tylko w naszym najgłębszym narodowym interesie, ale także w interesie całej wspólnoty socjalistycznej, w interesie pokoju, bezpieczeństwa i współpracy w Europie I z tej właśnie perspektywy Wysoka Izba, podchodząc do istniejących między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną nie rozwiązywać jeszcze kwestii. Należy do nich m. in. rozgraniczenie wód terytorialnych w Zatoce Pomorskiej. Nie jest to, chcę podkreślić, sprawa wyjątkowa w

świecie współczesnym. Zrodziła się ona w ponad 70 państwach, gdy zgodnie z prawem międzynarodowym rozstrzygały one granice swoich wód terytorialnych do 12 mil morskich. Niespełna 3 lata temu definitywnie uregulowaliśmy podobne kwestie ze Związkiem Radzieckim, wynikające właśnie z takiego przesunięcia granic morskich.

W sprawie rozgraniczenia wód terytorialnych w Zatoce Pomorskiej nie może być mowy o żadnej aneksji polskiej przestrzeni wodnej. I gdzie po prostu o zderzeniu interesów wynikających z rozszerzenia wód terytorialnych NRD do 12 mil, rozszerzenia, które rodzi kolizję z nabytymi i spożytkowanymi przez Polskę prawami do torów pojeźdźczych i kociołkowisk w tym regionie. Nie robiliśmy i nie robimy z tego tajemnicy. Przypomnę tylko wypowiedzi rzecznika rządu ministra Jerzego Urbana, mój wywiad dla „Polityki” w lipcu ub. r. czy również moje wystąpienie

podczas zgromadzenia Stowarzyszenia Odra—Wisła w Poznaniu w październiku 1987 roku, w których to wypowiedziach dałem rządową wykładnię do sprawy.

Nie robiąc z tego tajemnicy nie chcemy również niepotrzebnie rozgłosu, zbędnego rozbudzenia emocji i resentymentów. Nie sprzyja to umacnianiu przyjaźni i sojuszników z NRD, nie leży w polskich interesach. Wraz z naszymi sąsiadami, z Niemiecką Republiką Demokratyczną chcemy sprawę rozwiązać jak między przyjaciółmi i sojusznikami, a więc szanując interesy, suwerenne prawa i godność narodową każdej ze stron. Chcemy, aby osiągnięte w ten sposób rozwiązanie umacniało przyjaźń między nami, umacniało partnerskie między nami stosunki, a nie pozostawiało nieprzyjemnego osadu.

Pragnę poinformować Wysoką Izbę, jest to moim obowiązkiem, że tępcą się obecnie

rozmowy na ten temat. Będą one intensyfikowane. Mamy nadzieję, że stojąc na straży polskiego interesu narodowego osiągniemy rozwiązanie satysfakcjonujące obie strony, służące zarazem — podkreślam to jeszcze raz bardzo wyraźnie — interesom całej wspólnoty socjalistycznej.

Wysoka Izbo! Do rządu spraw, które budzą zrozumiałe zainteresowanie polskiej opinii publicznej, polskiego społeczeństwa, należą stosunki Polska — Watykan.

Podjęliśmy rozmowy na temat nawiązania stosunków dyplomatycznych, kierujemy się myślą o przyszłości i w przyszłość przede wszystkim patrzymy. Z historią stosunków polsko-watykańskich od wybuchu II wojny światowej obchodzimy się bardzo ostrożnie, pozostawiamy ją historykom, aby badali ją jak historycy, nie politycy, sine ira et studio. Sadzę, że pogląd ten także podziela

strona kościelna, strona watykańska. Ale poseł Bender jako historyk i odwołując się do ministra spraw zagranicznych, jako historyka, wywołał, można tak to powiedzieć, duchy przeszłości, mówiąc o nieopatrzności zerwania przed laty. Przypominajmy, że było to dokładnie 12 września 1945 roku i nazywało się wypowiedzeniem konkordatu z Watykanem zawartego 10 lutego 1925 r., w pamiętnych dla Polski okolicznościach.

Jako więc historyk, a nie minister spraw zagranicznych przypominajmy tylko, że u źródła tego aktu wypowiedzenia leżał m. in. stosunek Watykanu i Episkopatu do reform społecznych przeprowadzanych u zarania Polski Ludowej, w tym m. in. do projektu nowego prawa małżeńskiego. Leżała u podstaw tej sprawy nominacja administratorów apostołskich na polskich ziemiach odzyskanych bez uprzedzenia władz państwowych oraz akty nominacyjne Stolicy Apostolskiej z okresu II wojny świa-

towej, kiedy to Stolica Apostolska, nawiasem mówiąc, w niezgodzie z art. 9 konkordatu z 10 lutego 1925 roku powierzyła administrację diecezji chełmińskiej gdańskiemu biskupowi Karolowi Marii Szpilem, znanemu, delikatnie mówiąc, z antypolskiego nastawienia. Jest na ten temat ogromna dokumentacja. A dla biskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego naznaczyła jako administratora apostołskiego Niemca Brajtingera z określeniem jurysdykcji dla Niemców katolików, czy dla katolików Niemców, co nawiasem mówiąc w praktyce watykańskiej było krokiem bezprecedensowym, ponieważ nigdy nie uznawał on podziału narodowości katolików, a zawsze wedle określonego obrządku.

Również tylko jako historyk, a nie minister spraw zagranicznych przypominajmy, że w końcu 1939 r. rząd gen. Władysława Sikorskiego na emigracji stwierdził, wobec Stolicy Apostolskiej, iż planowane „przez Stolicę Apostolską” podporządkowanie diecezji chełmińskiej biskupowi Szpilem, cytuję, „byłoby rozwiązaniem sprzecznym z art. 9 konkordatu między Polską a Stolicą Świętą oraz wywołałoby w całym polskim narodzie jedno z najbardziej przykrych i niepożądanych uczuć”.

Tyle Wysoka Izbo jako historyk, sprowokowany do przypomniań kilku faktów przez innego historyka i w sytuacji, gdy tak często mówi się o białych plamach i gdy tak często adreduje się ten postulat pod jednym tylko adresem.

II etap w tarnowskim przemyśle

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1) Zadania produkcyjne zrealizowano przy zatrudnieniu niższym o 0,7 proc. niż w 1986 r. Realizacja zadań planowych w przedsiębiorstwach mimo przeciwnych warunków atmosferycznych w I kwartale ub. roku i przy ciągłych brakach surowców i materiałów.

Ocenie realizacji uchwały III Plenum KC PZPR w przedsiębiorstwach przemysłowych Tarnowskiego w 1987 r. poświęcone były wczorajsze obrady Egzekutywy KW PZPR w Tarnowie, które prowadził sekretarz KW Władysław Plewniak. Egzekutywa wysoko oceniła ożywienie sprzedaży na eksport, wzrost wydajności pracy oraz obniżkę kosztów wytwarzania. Poprawiła się jakość produkcji, w pełni wykonano zadania planowe w budownictwie mieszkaniowym. Stwierdzono, że pełna i konkretna realizacja uchwały III Plenum KC PZPR wymagała jednocześnie ich wzbogacenia i wzbogacenia o bardziej skuteczne działania.

Jednym z najistotniejszych działań jest intensyfikacja produkcji eksportowej. Podejmowane działania w tym zakresie przyniosły pozytywne zmiany. Przedsiębiorstwa sprzedały na eksport wyroby o wartości ponad 27 mld zł, tj. o prawie 34 proc. więcej niż w 1986 roku. Do I obszaru planowego — sprzedano wyroby wartości 75 mln rubli, a do drugiego wyroby wartości 62,9 mln dolarów.

(wzrost) Pawlicki z Centrum Onkologii Instytutu im. M. Skłodowskiej-Curie w Warszawie. — Odział w Krakowie i Zbigniew Zdebski z AM w Krakowie; nauk technicznych — Władysław Hejmo z Politechniki Krakowskiej i Jan Pospiech z Instytutu Podstaw Metalurgii PAN w Krakowie.

Nominacje profesorskie

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1) Tytuły profesora nadzwyczajnego otrzymali m. in.: nauk medycznych — Marek

Cenny reprint nie dotarł do Krakowa

(DOKONCZENIE ZE STR. 1) niebawem będę mógł poinformować Czytelników o rozpoczęciu długiego oczekiwanej w Krakowie sprzedaży dzieła. Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Książka nie dotarła do Krakowa. Jak więc została sprzedana?

Pewna liczba egzemplarzy — głównie w ramach przedpłat — przyimowanych z rocznym wyprzedzeniem — sprzedała gdańska księgarnia firmowa wydawnictwa „Ossolineum”, które jest edytorem reprintu.

Sprzedaż ta zakończona przełomie października i listopada ub. roku. Przeważającą część nakładu liczącą 1200 egz. (poza egzemplarzami gratulacyjnymi i pulą przeznaczoną na eksport) przekazana została do P.P. „Dom Książki” w Gdańsku. Przedsiębiorstwo to rozszło ofertę do wnieśliwych bibliotek całego kraju i na podstawie otrzymanych zamówień sprzedawało tą drogą ok. 450 egz. Pozostała część nakładu skierowana do sieci księgarń gdańskiego „Dopu Książki” obejmującej województwa gdańskie i śląskie. Reprint dzieła Heweliusza ominił więc nie tylko Kraków.

Jak poinformowała mnie dyr. Alicja Szewczyk, gdański

„Dom Książki” posiada jeszcze niewielką liczbę egzemplarzy „Firmamentum Sobiescianum”. Można je nabywać kontaktując się bezpośrednio z przedsiębiorstwem pod adresem: ul. Miszewskiego 16, 80-239 Gdańsk-Wrzeszcz, tel. w Gdańsku 41-23-50 (kierunkowy z Krakowa 0-58). W korespondencji należy określić sposób odbioru książki. O realizacji zamówień decydująca będzie kolejność zgłoszeń, aż do wyczerpania nakładu.

Jak z przedstawionych wyżej faktów wynika, w trakcie dystrybucji reprintu w zadbanie o głównych zainteresowanych: bibliotek naukowe i mieszkańców rodzinnego miasta Heweliusza. Uważam jednak, że żle się stało, iż reprint ważnego dokumentu dzieł nauki i kultury polskiej, jakim jest „Firmamentum Sobiescianum”, nie trafił do normalnej sprzedaży w Krakowie. Z pewnością znalazłby tu niemałe grono amatorów, w tym ludzi zainteresowanych dziełem Heweliusza z racji pracy naukowej. Ten błąd dystrybucji położył się cieniem na skądinąd bardzo wartościowej inicjatywie wydawniczej.

LESŁAW PETERS

TRIUMF PRAWDY

(CIĄG DALSZY ZE STR. 5)

stwo, które wychowuje swoich obywateli na pożywe i kłamstw, jest również niemoralne.

J. Bezwiad myślowy jeszcze istnieje, widać to również po reakcjach na pańską książkę, chociaż słojnowo rewolucja w tej dziedzinie staje się faktem. Niemala w tym zasługa literatury i wcześniej powstałych dzieł. Czego pan oczekuje od nowych książek, które dopiero mają się ukazać?

A.R.: Literatura tylko wtedy zasługująca to miano, kiedy mówi prawdę. Nie da się przy pomocy żadnych sztuczek, w oparciu o kłamstwa, stworzyć czegoś istotnego. To reguła. Ten fakt, że w chwili obecnej można pisać prawdę, otwiera przed naszymi pisarzami ogromne perspektywy. Są tacy, co powiadają: „Dlatego wszyscy tak się rzucili na lata trzydzieste”. Dlatego, że właśnie wtedy położono podwaliny pod obecną zastość, który przecież nie spadł nam z nieba. Był wynikiem lat trzydziestych, kiedy za wszystkich myślał i decydował jeden człowiek. Powinnymi wychowywać aktywnych, wolno myślących ludzi z inicjatywą, a to jest możliwe jedynie w warunkach absolutnej szczerości. Uważam, że literatura nigdy nie dysponowała takimi możliwościami, jak obecnie.

J.: A co robić z niezadowolonymi, oburzonymi, z tymi, którzy z trwogą otwierają czasopisma i gazety, krzyżując z głębokim przekonaniem o niedopuszczalności takiej prawdy (jakby prawda nie była absolutem) w obawie o nasz prestiż poza granicami kraju?

A.R.: Musielibyśmy nasze dolegliwości nazwać po imieniu, nie było innego wyjścia. Oczywiście, istnieje bardzo silny opór, szczególnie ten bierny, ale dominuje, instynkt samozachowawczy narodu, który dąży naprzód, dbając o przetrwanie państwa, społeczeństwa. Nie baczcie na wszystko, pesymiści będą zmuszeni do pogodzenia się z faktami. Jesteśmy wielkim mocarstwem i nie możemy wiec się w tyle. Gdybyśmy nie przebudowali sposobu naszego myślenia, narazeni byłibyśmy na posłobianie się tego procesu i utrwalanie dorobku epoki stalinowskiej, kiedy wszyscy się bali. Bali się samodzielnie myśleć, mówić, działać, ryzykować.

Książka się ukazała, jest czytana i dyskutowana przez wszystkich. Prawda zatrzymowała, szkoda jednak, że tak późno. Wielu przyjaciół i rówieśników Anatolija Rybakowa nie może już przeczytać jego powieści lub choćby dowiedzieć się o fakcie jej publikacji. A skądinąd wiadomo, że właśnie od niego oczekiwali oni podjęcia tego tematu.

Opracowała W. PAWŁOWICZ

(„Junost” nr 12, 1987)

Komunikat MO

Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Krakowie prowadzi postępowanie w sprawie wypadku drogowego z istniejącego 12 II br., w godzinah wieczornych, na ul. Ujaśtek, w którym leżący na jez-

Ryszard Bender:

Musi zostać wypowiedziane słowo Katyn, tego wymaga honor narodu polskiego

Polska polityka zagraniczna ma już poza sobą poważniejsze trudności — stwierdził pos. Ryszard Bender (bezp.). Dla naszych działań dyplomatycznych otwierają się nowe perspektywy w związku z odprężeniem międzynarodowym, następującym po spotkaniu w Waszyngtonie R. Reagana z M. Gorbaczowa. Podjęte tam decyzje o ograniczeniu broni nuklearnej i zniszczeniu jej części czynią jeszcze bardziej aktualnym plan Jaruzelskiego. Przypominając wzmocnioną aktywność polskiej dyplomacji i wizyty polskich osobistości w innych państwach, mówca wskazał, że pozycja Polski w Europie i jej położenie geopolityczne wymaga aktywnych stosunków międzynarodowych.

Poseł podkreślił znaczenie dobrosąsiedzkich stosunków między Polską i ZSRR. Dzieje obu naszych krajów — stwierdził — od rozbiorów poczyniły, a w szczególności najnowsze, wykazywały jakże często że pogorszenie relacji między państwowych, uzależnianie Polski, wymazywanie z mapy Europy służyło wyłącznie interesom wrogów Polski i Rosji, Polski i Związku Radzieckiego. Zawsze było to z korzy-

ścią dla Prus, dla kaiserowskich, a później hitlerowskich Niemiec. Między Polską i ZSRR może i musi zaistnieć przyjaźń oparta o wzajemną rację stanu, rzeczywistość — a nie deklaracyjną, propagandową. Ta ostatnia winna stać się przeszłością, śmieszna przeszłością. Obecnie, w okresie „glasnosti” rozwijanej przez sekretarza generalnego Michała Gorbaczowa i państwowe kierownictwo radzieckie, mogą i powinny zniknąć zadrżnienia, które utrudniały czy wręcz uniemożliwiały wzajemne relacje realnej, a nie fasadowej, dobrosąsiedzkich polityki między obu narodami i państwami. Suwerenna, samorządna, silna ekonomicznie Polska to najlepszy sojusznik

u zachodnich granic Związku Radzieckiego i naturalna bariera dla ponownych snów o „drang nach Osten”.

Obopólnemu zbliżeniu i wzajemnie korzystnemu współdziałaniu na płaszczyźnie międzynarodowej Polski i ZSRR służyć będzie usuwanie „białych plam” z kart naszych dziejów. Dobrze, że działa komisja historyków polskich i radzieckich, zajmująca się tą sprawą. Panie ministrze — zwrócił się poseł do M. Orzechowskiego — obaj jesteście historykami. Nie musimy przekonywać, że dla wyważenia „białych plam” badaczom potrzebne są decyzje polityczne. One otworzą archiwa, ujawnią niedostępne dotąd dokumenty dotyczące zło-

nych, przemierzanych, niekiedy utajonych wydarzeń z naszej przeszłości.

Następnie poseł, Bender stwierdził: W tej Wysokiej Izbie musi zostać wypowiedziane słowo Katyn, tego wymaga honor narodu polskiego, jego męczeńskie dzieje w latach ostatniej wojny. Wypowiadał je w przekonaniu, że kompetentne czynniki rządowe zabiją ażeby jak najszybciej wszelkie okoliczności dotyczące Katynia zostały dogłębnie, z troską o prawdę wyjaśnione. Wyjaśnić należy również cały spłot spraw związanych z paktem Ribbentrop — Molotow z 23 sierpnia 1939 roku i z jego tragicznymi dla Polski następstwami z 17 września 1939 r., z wywózkami na

Sybir wielotysięcznej rzeszy Polaków ciagnącymi się aż po 1941 rok. Sa w tej Izbie osoby, które boleśnie doznały tych wywózek.

Poseł nawiązał do słów znane go radzieckiego historyka Afanasiewa, który stwierdził, że Katyn to problem, którym obowiązkowo powinni zająć się historycy polscy i radziecy.

Dalej poseł, Bender nawiązał do sprawy roszczeń do polskiego akwenu Zatok Pomorskiej. Powiedział on, że jedzonostronna decyzja NRD rozszerzyła własne morze terytorialne do 12 mil anektując polską przestrzeń wodną. Spowodowało to, że tory wodne do Swinoujścia i Szczecina

znalazły się nagle, rzekomo, w granicach tego państwa. Podobnego kroku nie uczyniła NRD w stosunku do RFN, tylko względem Polski. Cieszą się rewizjoniści twierdząc, że wszystko to stało się w interesie ogólnoniemieckim, pangermańskim. Delimitacja morza terytorialnego dokonana przez NRD w Zatoce Pomorskiej jest sprzeczna z prawem międzynarodowym. Trzeba zintensyfikować rozmowy dyplomatyczne, które powinny doprowadzić jak najszybciej do restytucji naszego stanu posiadania w Zatoce Pomorskiej.

Nawiązując do prowadzonych między rządem, Episkopatem Polski i Stolicą Apostolską rozmów dotyczących łożenia wielu zasadniczych spraw między Kościołem i państwem oraz nawiązania stosunków dyplomatycznych poseł stwierdził, że wypowiedzi księdza arcybiskupa Jerzego Stroby budzą optymizm. Należy wierzyć, że strona rządowa uczyni wszystko, aby łączność dyplomatyczna ze Stolicą Apostolską nieopatrnie zerwana przed laty została przywrócona zgodnie z wielowiekową tradycją naszego narodu.

tutaj przeprowadzone niezwykle dokładne, niezwykle precyzyjne badanie materiałów źródłowych.

Pamiętać trzeba przy tych wszystkich sprawach, że resentymenty pokutują nie tylko po naszej stronie granicy, ale także po drugiej — co ma także uzasadnienie.

Przykro mi to mówić jako Polakowi: wręczałem na ostatnim posiedzeniu komisji przewodniczącemu radzieckiej strony wykaz oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej poległych na ziemi polskiej z rak polskich, i to nie w przypadkowych czy nieprzypadkowych starciach, powiedzmy przy rozwiązywaniu, czy próbach rozbijania oddziału partyzanckiego gdzieś na Lubelszczyźnie czy dalej na wschód, ale w Miechowskim, Kieleckim, a nawet na ziemiach odzyskanych. To jest obita lista. Ale jeśli chcemy odkrywać prawdę, to trzeba ją odkryć w całej okazałości. Ze swojej strony towarzysze radziecy wysuwają pewne postulaty pod naszym adresem, np. w zakresie upamiętnienia ok. miliona obywateli radzieckich, którzy znaleźli na naszej ziemi śmierć z rak okupantów hitlerowskich.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

W tej całej sprawie nie chodzi o sensację, nie chodzi o tytuły na pierwszych stronach gazet, chodzi o wyjaśnienie całej prawdy, o usunięcie tych kolców, które tkwią po dziś dzień w świadomości bratnich, zaprzyjaźnionych dziś narodów. Chodzi o to, aby objasniwszy całą spulchnicę przeszłości — i te zła, i te dobra — mieć przekonanie, że praca ta będzie służyć przyszłości.

Jarema Maciszewski:

Historii nie da się zmienić. Ale historię trzeba umieć przewyciężyć

Sadzę, że nie rozminę się z zainteresowaniem Wysokiej Izby — powiedział pos. Jarema Maciszewski (PZPR) — jeśli przedstawię jej niektóre, przy najmniej aspekty trudnej, ogromnej pracy, prowadzonej wspólnie przez historyków polskich i radzieckich, która polega na odsłanianiu, wyjaśnianiu, reinterpretacji wszystkich bez wyjątku aspektów stosunków polsko-radzieckich, a także — stosunków polsko-rosyjskich, polsko-ukraińskich, polsko-białoruskich, polsko-litewskich. Dotyczy to oczywiście bliższej i dalszej przeszłości.

Duże są obszary niewiedzy, przemilczeń a nawet nieprawdy. Łączą się z emocjami, zresztą po obu stronach granicy, o czym często się zapomina. Historii nie da się zmienić. Ale historię trzeba umieć przewyciężyć — w imię teraźniejszości i przyszłości.

Ta żmudna praca badawcza nie powinna przypominać ani rozrachunku, ani katalogu żalów i krzywd. Były wszak w wielowiekowym sąsiedztwie między nami i naszymi wschodnimi sąsiadami piękne karty, które stanowią dzisiaj wartość podkreślenia korzeni naszej przyjaźni. Wszystkie sprawy muszą być osądzone wszechstronnie. Decyzjom politycznym, podjętym przez Wojciecha Jaruzelskiego i Michała Gorbaczowa zawdzięczamy, że rozpoczęliśmy prace w tak szerokim zakresie.

Słyszysz się często apele o pospiech. Jest on rzeczywiście potrzebny. O wysiłkach komisji w tej mierze, właśnie w kierunku przyspieszenia prac powiadaliśmy publicznie przed

kamerami Telewizji Polskiej i na łamach „Trybuny Ludu”, wspólnie z akademikami Smirnowem, przewodniczącym radzieckiej części komisji. Komisja historyków polskich i radzieckich pracuje bardzo intensywnie. Pierwszy zespół badanych problemów dotyczy lat 1917—1921. Owocem tego będzie monografia naukowa przy wykorzystaniu nowych źródeł archiwalno-źródłowych, która także obejmie całość problemów związanych z wojną polsko-radziecką 1920 r.

Kolejnym zespołem tematycznym, w którym posunęliśmy się daleko, jest sprawa tragedii komunistów polskich w końcu lat 30., związana zarówno z rozwiązaniem KPP w sierpniu 1938 r., jak i represjami, tragiczną śmiercią wielu spośród jej przywódców.

Jesteśmy bliscy rozwiązania kompleksu spraw związanych z wydarzeniami lat 1938—39 — łącznie z układem radziecko-niemieckim z 23 sierpnia 1939 roku, a także z innymi układami z 28 września tegoż roku. Myślę, że już niebawem ukaze się obszerny materiał wspólny, traktujący o wydarzeniach

lat 1938—39. Już mamy autorytatywne i kompetentne wypowiedzi przewodniczącego radzieckiej części komisji odcisnąć, przemierzanych ludności polskiej, w tym deportacje (a i początki jako wojnę sprawiedliwą, wojnę obronną, z wszystkimi tego implikacjami i konsekwencjami. Mamy krytyczne stanowisko (jeszcze nie opublikowane) odcisnąć pożycki i postawy Kominternu wobec pierwszych miesięcy wojny. Mamy wreszcie niezwykle istotną wypowiedź stwierdzającą nie tylko niedopuszczalność i obraźliwy w stosunku do narodu polskiego charakter wypowiedzi Władysława Molotowa z jesieni 1939 r., ale także wyrażać, że pozostawiające żadnych wątpliwości stwierdzenie, iż sformułowanie o tym, iż państwo polskie przestało istnieć było sformulowaniem nieprawdą i obraźliwym w stosunku do narodu polskiego.

Kolejny zespół problemów dotyczy przemieszczeń i losu ludności polskiej w Związku Radzieckim w latach 1939—1941. Nie uziłem słowa przemieszczeń po to, aby uniknąć słowa deportacji czy wywózek, ponieważ często się spekuluje wokół użytych sformułowań.

Staramy się badać sprawy wszechstronnie. Wielkim problemem wysuniętym przez stronę radziecką jest np. losy jeńców, byłych żołnierzy radzieckich, wrzniętych do niewoli przez Niemców na terenie Pol-

ski, pomoc ludności polskiej dla tych jeńców, ich udział w walce w oddziałach partyzanckich polskich i radzieckich.

Pan Poseł Bender cytował słowa historyka radzieckiego dotyczące tragedii katyńskiej. Nie jestem zazdrosny o czyjakolwiek wypowiedź, ale nikt z nas, historyków polskich, a także historyków radzieckich pracujących w naszej komisji nie omija jednego z najtragiczniejszych słów — Katyn. Chciałbym tylko powiedzieć, że słowo to symbolizuje tylko część problemu. Problem jest szerszy. Panie Profesorze, niż tylko sprawa katyńska. Problem ten, to los oficerów, podoficerów i żołnierzy internowanych po 1939 r. Związczą tutaj chodzi o los tych, którzy byli internowani w trzech obozach: Kozielsk (i proszę nie mylić z Kozłowskim II — stamtąd oficerowie ocalili wszyscy). Starobelsk i Ostaszków.

Potrzebna w tej, tak jak i w każdej innej sprawie naukowa precyzja. Jednych pólprawd nie można zastępować innymi. To nie jest sprawa, w której wolno publicznie operować hipotezami. Jest to bardzo tragiczna sprawa, że musi być

potrzebna w tej, tak jak i w każdej innej sprawie naukowa precyzja. Jednych pólprawd nie można zastępować innymi. To nie jest sprawa, w której wolno publicznie operować hipotezami. Jest to bardzo tragiczna sprawa, że musi być

Krasińskiego z 1781 roku za cenę 165 tys. zł, czy „Epistolae historico-familiares” Andrzeja Chryzostoma Zaluskiego (kilkatomowy zbiór dokumentów historycznych w formie listów) w pięknej oprawie skórzanej ze złoceniem grzbietem z lat 1709—11 za 410 tys. zł. Na drugim miejscu w zakupach uplasowało się Muzeum Sejmu, które zakupiło m. in. „Statuta w przywileje na Wąlnych Seymich Koronnych od roku Pańskiego 1550 aż do roku 1616 uchwalone” z 1616 roku za 130 tys. zł.

Szerzej o 64 krakowskiej aukcji antykwarnej napiszemy w jednym z kolejnych numerów „Gazety”. (20)

Wkrótce zapadnie decyzja w sprawie dodatkowych podwyżek rent i emerytur

(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

tyczących emerytur i rent przyznanych w styczniu br. to, że w sumie — w marcu i wrześniu — grupa ta otrzymałaby tytułem wyrównania 4.000 zł miesięcznie. Dotyczyłoby to ok. 400 tys. osób.

Opracowane w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej propozycje przewidują również korektę rozwiązań do-

tyczących emerytur i rent przyznanych w styczniu br.

Warto też przypomnieć zapowiedź, że po I półroczu br. rząd wspólnie z OPZZ szczegółowo przeanalizuje tempó wzrostu kosztów utrzymania

